№ 20. Warszawa, dnia 5 (17) Maja 1879 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

SŁÓWKO
o braku odpowiednich książek
dla młodzieży w naszéj literaturze.

Któż nie wie, czem jest czytanie dla młodego wieku, jaki tam ono wpływ wywiera potężny, jak kształcić i rozwinąć może umysł młodociany. Młodzież téż czyta najchciwiéj, gorączkowo, rzec można, jakżeby więc to dobrze było, gdyby ta młodzież i młodziutkie Polki nasze, bo o nich mówię tu przeważnie, mogły czytywać po polsku i pokochały zawczasu ojczystą literaterę. Ale na tym właśnie punkcie niemałe przedstawiają się trudności, bo literatura nasza tak piękna i bogata w dzieła wszelkiéj dziedziny nauk, nie posiada prawie książek poświęconych wyłącznie młodzieży. Dziecinna literatura jest u nas obszerna i obfita, posiadamy w tym rodzaju wiele oryginalnych i tłomaczonych rzeczy, począwszy od ślicznych wierszyków i bajek, powiastek, podróży i t. d. a skończywszy na doskonałem piśmie peryodycznem: "Przyjacielu Dzieci." Książki te są téż rozpowszechnione i czytane bywają z zapałem... ale tylko przez dzieci, dla starszych, *dorastających*, mało mamy podobnych. Trudno bowiem wymagać, aby panienka kończąca nauki szkolne, lub świeżo z pensyi wyszedłszy, zadowolić się miała bajką albo książką niby poważną, opisującą podróż, w któréj główną odgrywają rolę walki z dzikimi ludźmi i zwierzętami, bijatyki, mordy, napady: dobre to raczéj dla młodych chłopców. Trudno także żądać, aby czytywała owe pouczające historyczne książki dla młodzieży, bo tam spotka się tylko z niedawno słyszanym wykładem nauczycieli; toż samo większa część z naszych powieści, pisanych dla *doroślejszéj młodzieży*, tytułem tylko bywa jéj poświęcona, a treścią i formą odpowiada jedynie wymaganiom dziecinnym. Zapewne każdy zgodzi się na to, że prawda, myśl poczciwa i czysta, chociaż w najprostszéj, byle tylko wdzięcznéj podanie formie, są zawsze pięknemi i czytać się mogą bez przymusu, ale jakże przekonać o tem dziewczę kilkonastoletnie, któremu się wydaje, że głównym warunkiem, aby książka była zajmującą i użyteczną jest przeznaczenie jéj dla dorosłych, napisanie jéj w myśli ludzi dojrzałych? To też ani matka ani nauczycielka nie znużą się pewnie, czytając i objaśniając swym wychowańcom śliczne powiastki Tańskiéj, kanonika Szmidta, wierszyki Chęcińskiego, a nawet bajki Jachowicza, ale może nawet z przyjemnością rozkoszować się będą w tym świecie dziecięcych myśli i marzeń niewinnych, rozpatrywać ciekawie w duszy i sercu dziecka, o jego skłonnościach i całéj istocie tryskającéj życiem i prawdą. Ale na to potrzeba właśnie pewnéj już dojrzałości umysłu, pewnego doświadczenia, aby zrobić porównanie, przeciwstawienie dwóch światów, dwóch natur rozmaitych: pozostawionego daleko za sobą dzieciństwa i nieuderzającego już taką świeżością, ani prostotą dojrzałego wieku. Książki pisane dla dzieci wtenczas najlepszemi odznaczają się zaletami, gdy zająć potrafią każdego, jeżeli każdy, kto ją weźmie do ręki, znajdzie w nich myśl, fakt, lub obraz, które w jakibądź sposób pouczyć, poruszyć go zdolne. Takim przymiotem odznacza się właśnie pomiędzy innemi, wspomniany już: „Przyjaciel Dzieci,‟ bo doprawdy i niejeden starszy człowiek, nauczyć się z niego może rozmaitych ciekawych szczegółów, a dla wszystkich w ogóle posiada wdzięk prostoty i umiejętne obrazowanie rzeczy... a jednak, wypada dowieść, iż niebezzasadne było twierdzenie, jakoby starsza, dorastająca młodzież nie lubiła czytywać nic, co ma najmniejszy pozór i zakrój pisma dziecinnego, przytoczyć muszę jako fakt doświadczony, że sam tytuł wspomnianego tygodnika wytrąca go z ręki doroślejszéj młodzieży.

Tam, gdzie matka lub nauczycielka nie uważa za obowiązek sama kierować czytaniem dorastającéj panienki, czytanie to ogranicza się na samych romansach i powieściach, tak polskich jak i francuzkich bez żadnego wyboru. Gdzie zaś staranna i troskliwa matka pragnie ustrzedz córkę od niejednéj niepotrzebnéj wiadomości, od zbytecznego wzruszenia, od poznania niejednéj smutnéj, poniżającéj prawdy którą dopiero życie i doświadczenie ma objawić, tam pewnie czytanie naszych książek bardzo zaniedbane i chyba tylko od czasu do czasu przeczyta się w ojczystym języku coś naukowego, a zresztą czytuje się po francuzku. Ale bo też francuzka literatura daleko obfitsza w przedmioty, o jakich mowa, i prawie brać za złe nie można matkom, które biblioteki swych 16-letnich córek zaopatrują przeważnie w te cudzoziemskie książki. Obok licznych biografii osobistości sławnych w historyi kraju, w literaturze i sztukach, są tam i przystępne naukowe rozbiory, nauki moralne i religijne, zajmujące i pięknie opowiadane podróże, ciekawe pamiętniki i wyborne dla młodych osób powieści. Dość tu przytoczyć wydawnictwo znanéj *bibliotèque rouge*, poświęconéj ogólnie młodemu wiekowi, ale zawierającéj osobne działy dla dzieci, osobne dla starszych do lat 18, a obejmującéj wszystko, co zająć i ukształcić może młodociany umysł. Dość także wymienić tak słusznie chwalone, pełne religijnego uczucia i wdzięku rodzinnego życia powieści i opowiadania panny Mouniot, J. T. de Saint Germain i wielu innych, aby się przekonać, na czem to zbywa u nas. Nasze książki i pisma, zatytułowane nawet dla „doroślejszéj młodzieży,‟ uwzględniają, jak się to już wyżéj powiedziało, z małym tylko wyjątkiem, głównie pojęcia dziecinne i dlatego jedynie nie odpowiadają potrzebie. A przecie pomiędzy dzieckiem (np. do lat 13) a panienką dorastającą (chociażby tylko do 17 roku) zachodzi niezmierna różnica i niepodobna, aby rzecz ta sama,

w taki sam przedstawiona sposób, równie zainteresować i z równą korzyścią czytaną być miała przez oba te wieki. To téż jeżeli literatura nasza posiada cośkolwiek w rodzaju, o jaki nam chodzi, to chyba tylko niektóre utwory Tańskiéj, Pruszakowéj, Pauliny Kraków lub Wojnarowskiéj: „Pierścionki Babuni,“ których osobne tomy i części zastosowane są umiejętnie do każdego wieku. W ostatnich latach pojawiło się także kilka książek odpowiedniejszych naszemu celowi, mianowicie: „Opowiadania historyczne z dziejów starożytnych“ Czepielińskiego, „Znakomite kobiety“ szkice p. Wandę Żeleńską, „Obrazki z życia znakomitszych ludzi“ Szymanowskiego, i „Dzieci p. Onufrowéj,“ śliczna powiastka Marty Moimir. Mało co więcéj dałoby się jeszcze wyliczyć: w ogóle szczupły zapas w porównaniu z tem, czego niedostaje, czego wyraźna daje się czuć potrzeba.

Tak jak panience, lub chłopcu dorastającemu, wiele mówi się rzeczy, których dzieci nie rozumiałyby jeszcze, tak znów nie wszystko, co pisze się dla osób starszych, dojrzałych, równie zdrowym byłoby pokarmem dla serc i umysłów choć ukształconych ale młodziutkich, pierwsze rozwinięte kwiaty wiosny przypominających. Nie sądźmy, że panna nawet 18-letnia może bezkarnie czytywać już wszystko; że nie ma nic tak zbyt płochego i jaskrawego, jako i zbyt ciężkiego i nużącego dla jéj umysłu. Owszem, jest to wiek najwrażliwszy, najskłonniejszy do przejmowania się tem, czem go poją, bo sam nic jeszcze nie doświadczył, mało widział, nic nie zna i nic nie wie, a wiele przeczuwa, wiele się domyśla, wszystko radby wiedzieć, uchylić każdéj zasłony, pochłonąć każdą naukę, zadowolić swą ciekawość, dogodzić rozumowi i fantazyi. Tak zło, jak dobro i piękno, wielkość jak nikczemność, zarówno wcisnąć się mogą w duszę młodéj, niedoświadczonéj istoty, owładnąć nią i zostawić na niéj swe piętno. Od wychowania zatem, od skierowania w jedną lub drugą stronę zapałów i pragnień młodości, a pośrednio od wyborowego, roztropnego czytania, zależą przyszłe zasady, zacność i prawość i cały późniejszy rozum naszych pokoleń. To, co młodość sobie przyswoiła, co posiadła z całą siłą wiary i ufności, niełatwo zostanie zatarte i wyplenione. Nawet zawody i doświadczenia lat późniejszych nie stłumią tego wiecznego echa, które mimo wszystkiego odzywać się będzie w głębi najjaśniejszem, najpotężniejszem ze wspomnień, bo jak wieszcz mówi do starszego przyjaciela:

Młodość, mistrzu, jest rzeźbiarką,
Co wykuwa żywot cały,
Choć przeminie sama szparko,
Cios jéj dłuta wiecznotrwały.

Wiele téż pism w swoim rodzaju wybornych, zacną, religijną odznaczających się tendencyą, albo przeważnie poświęconych kobietom, nie stanowi także działu literatury, na jakim nam zbywa. Dałoby się tam wprawdzie wiele rzeczy wybrać i użyć odpowiednio, ale pisma przeznaczone dla rodzin, a tem samem przede wszystkiem dla ich reprezentantów, nie mogą przecie bez uchybienia swemu celowi mieć jedynie i zawsze korzyści i nauki młodzieży na oku, ale muszą nieraz traktować o przedmiotach, które znużą umysł młodociany, na których badanie w wiośnie życia jeszcze zawczesne. Toż przecie w poważniejszéj literaturze naszéj znajduje się w ogóle dzieł wiele, które czytać może i powinna każda młoda osoba; nie mówię tu o utworach wielkich poetów narodowych, bo te poznajemy zwykle, ucząc się literatury, mam zatem na myśli niektóre opisy, rozprawy, szkice i opowiadania treści poważnéj. Ale, jak powiedziało się wyżéj, nie można żądać, aby dorastająca młodzież czytywała rzeczy choćby najpoważniejsze, lecz opracowane dla dzieci, tak z drugiéj strony wymagać nietrzeba, aby karmiła się jedynie i zawsze dziełami, w których smakują stateczni ludzie nauki, lub wyłączni jéj miłośnicy.

Młodzież, powinna wśród tego, co z ogólnéj literatury narodu dla niéj się przeznacza, mieć osobną swoją czytelnię i książki, któreby nie ostudzały jéj zapału, ani zniechęcały ciekawości, któreby jéj nie mówiły na każdéj stronie, że autor zniża się do jéj pojęć, ale któreby się odzywały do niéj jak doświadczeńsze, rad swych, nauki swéj udzielające przyjaciółki. Takie książki pożądane byłyby bardzo i pewnie nie zbłądzę, gdy w imieniu matek i wszystkich wychowujących osób głośno się oświadczę za potrzebą wzięcia się u nas do pracy około tego odłogiem nieco leżącego pola. Mam także przekonanie, że pismo peryodyczne, poświęcone *dorosléj* młodzieży albo wyłącznie dziewicom młodym, a zatem bez wszelkiego dziecinnego zakroju, że pismo takie z radością zostałoby powitane we wszystkich częściach naszego kraju. A jaki wdzięczny, pełen najczystszéj woni byłby to kwiatek na naszéj literackiéj niwie! Wszystko, co podniosłe i najszlachetniejsze, co serce czci i miłuje, o czem marzą młodzi, za czem wzdychają starzy i wszystko, co duszę i umysł wzbogaca, mówiłoby do nas ztamtąd i dobre, poczciwe ziarno rzucałoby na wdzięczną zaiste rolę, bo niewypaloną i niezdeptaną rolę serc młodych i gorących.

Teja.

WIERNA POSŁANKA.

Ach! poczekaj chwilkę, jaskółeczko mała,
Błagam cię o łaskę: wszak lecisz w tę stronę?
Tam wśród drzew zielonych, stoi chatka biała,
Zapukaj, i powiedz:—że ja we łzach tonę!
Już tydzień upłynął jak się żegnał ze mną,
Ach! zabrał mi wtenczas i serce i duszę;
Ach! śpiesz jaskółeczko, miéj litość nademną,
Zapukaj i powiedz: że go widzieć muszę!
Pomknęła jak strzała—nikt jéj nie dogoni:
Za chwilę już jeździec przez zagony sadzi:
Już przy mnie, już czuję uścisk jego dłoni,
— Jaskółeczka siedzi, lśniące piórka gładzi.
On patrzy tak słodko, zapewnia tak szczerze
Że błogiéj téj chwili czekał najgoręcéj,
Że naszego szczęścia nikt nam nie odbierze
—Leć już jaskółeczko, nie pragnę nic więcéj.

M. H.

FLAMINIA.

POWIEŚĆ

przez

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg).

Eliza patrzała z uwagą na niego. Nie przerywała w niczem procesu jego myśli i uczuć. Była cierpliwą, a gdy ta cierpliwość przy niezachwianem milczeniu hrabiego jeszcze większych miała dosięgnąć rozmiarów, wzięła illustracyą do ręki i zaczęła ją przeglądać.

Hrabia siedział na fotelu i ciągle milczał. Miał oczy w ziemię spuszczone jakby rozmotać chciał pokręcone na dywanie arabeski. Od czasu do czasu marszczyło się jego piękne czoło, jakby przesuwały po niem jakieś myśli niemiłe.

Wreszcie westchnął głęboko i podniósł oczy. Spotkał się z wejrzeniem Elizy. Patrzał czas niejaki w te rozsądne i nie bez głębszego wyrazu oczy, potem ruszył głową i zapytał:

— Cóż pani na to wszystko?

Smutno uśmiechnęła się Eliza.

— Cóż ja mogę panu powiedzieć, odparła, ja, która przytem wszystkiem mam tak małoznaczące stanowisko!

Pierś Elizy podniosła się przy tych słowach lekkiem westchnieniem. Zbudziło to hrabiego z dotychczasowéj apatyi.

Podniósł na nią duże ciemne oczy, w których malował się jeszcze wyraz smutku.

— Dla czego pani w ten sposób do mnie przemawia? rzekł z wyrzutem. Pani okazałaś mi tyle współczucia, dałaś mi dowody takiéj szlachetności serca, że nazwałbym siebie niewdzięcznikiem, gdybym tego wszystkiego należycie nie umiał ocenić.

— Robiłam to wszystko, w nadziei, że panu do szczęścia dopomogę.

— W sercu mojem pozostanie wdzięczność niczem niezmazana.

— Wzbogaci to życie moje, ubogie w szlachetniéjsze wspomnienia.

— I w mojem ubóstwie szlachetniejszych wzruszeń będą te chwile niezapomniane.

Nastąpiło milczenie. Hrabia patrzał przed siebie, Eliza bawiła się koronką od chustki.

— Moja przyjaciółka jest dziwna, prawie nieodgadniona osoba. Żyje ona w świecie tak innym od naszego świata, że lada dotknięcie rzeczywistości straszy ją i płoszy jak śpiącą na polance sarnę.

Hrabia posunął ręką po czole.

— Bawiłem się długo cudownym obrazem szczęścia! rzekł z lekkiem westchnieniem.

— Szkoda że tak prędko uleciał! Żałuję że nie mogłam go dłużej dla pana przytrzymać.

— Ach pani jesteś tak dobrą!

— Właśnie przed przyjęciem pana rozmawiałam z Flaminią, a w rozmowie téj starałam się być prawdziwą przyjaciółką pana.

— Jestem o tem aż nadto przekonany.

— Sam pan poznałeś, jak dziwną jest ona! Takie same odpowiedzi, jakie pan od niéj słyszałeś, dawała i mnie!

Hrabia westchnął.

— Przynajmniéj była tak delikatną, że słowa pana nie brała na seryo ale uważała je za zwykłą z dowcipem i humorem prowadzoną szermierkę.

— Widziałem to.

— Ułatwia to panu wyjście z niemiłéj sytuacyi.

— Nie przeczę temu.

— Nic więc panu innego nie pozostaje, jak wziąć całą tę sprawę za to, za co wzięła ją Flaminia.

— Nie inaczéj!

— Jeżeli tylko serce na to zezwoli...

— To prawda... trzeba mu jednak jakoś dopomódz!

Hrabia wymawiał te słowa z uśmiechem i patrzał na Elizę. Eliza zaczęła skubać koronkę.

— Jak to pan rozumiesz? zapytała cichym zaledwie dosłyszanym głosem.

Hrabia pomyślał chwilkę.

— Sam nie wiem, odparł po chwili, bo przyznam się pani, że w głowie mi się kręci a przed oczyma wszystko chodzi przede mną.

— Siedzisz pan na przeciągu... przysuń pan fotel bliżéj do mnie.

Hrabia przysunął fotel.

— Widzisz pani, jak jestem posłuszny!

— Pacyentowi należy się wszelka wygoda... może panu wygodniéj będzie tu na kanapie.

Hrabia przesiadł się na kanapę.

— Tu może się pan prędzéj uspokoisz....

Hrabia spojrzał w czarne, błyszczące oczy Elizy.

— Blisko tak pięknych oczu, rzekł z galanteryą, może jeszcze trudniéj będzie pacyentowi o spokój!...

I sięgnął po białą rączkę uroczéj powiernicy. Eliza powściągnęła rękę. Zmarszczyła piękne czoło i rzekła:

— W obec świeżego grobowca marzeń swoich niech pan uszanuje chwilę dopiero co ubiegłą!

Posmutniał hrabia.

— Masz pani słuszność... ale ja chciałem tylko szlachetnéj powiernicy mojéj podziękować za tyle trudu, za tyle daremnie straconego czasu....

Czoło Elizy zmarszczyło się jeszcze więcéj.

— Być może że dla pana były te chwile stracone skoro celu nie osiągnąłeś, ale ja szczerze wyznaję, chociażbym tego nie powinna czynić... że one dla mnie pozostaną bardzo miłem wspomnieniem na całe życie!...

Hrabia chciał znowu sięgnąć po białą rękę, aby za tak piękne słowa podziękować—ale znowu wzbroniono mu téj ręki.

— Są serca—mówiła daléj Eliza—dla których najmilsze i najsłodsze są uczucia bezinteresowne... Zdaje się, że ja mam takie serce!

Hrabia w milczeniu patrzał na Elizę.

— Gdyby naprzykład—ciągnęła daléj piękna popowiernica, gdybym wiedziała, że z mego pośrednictwa mogłaby dla mnie wyniknąć jaka korzyść, całe pośrednictwo moje straciłoby dla mnie wszelki urok.

— Pani jesteś bez egoizmu!

— Egotyczne uczucia zniżają nas do rzędu bardzo zwykłych ludzi.

Hrabia uśmiechnął się. Przed jego okiem błysnęła teraz tak piękna rączka uzbrojona w błyszczące dyamentowe pierścienie, że zdawało mu się, iż obaczył niebo gwiaździste.

— Pani chcesz utrzymać się na wysokości królewskiéj, odrzekł z lekkim uśmiechem, ale czy pani nie będzie zbyt nudno na téj wysokości, podczas gdy wszyscy ludzie po ziemi chodzą?...

Eliza spojrzała z czarującym uśmiechem na hrabiego.

— Cóż tam na téj ziemi dla mnie być może? zapytała z lekką chmurką smutku na czole.

— Dla pani może być jeszcze wszystko! z galanteryą odpowiedział hrabia.

— Dla mnie?... Zstąpiłam już raz po to szczęście na ziemię... niestety utraciłam je tak wcześnie!

— Właśnie dla tego masz pani prawo do powtórnego szczęścia....

— Po raz drugi próbować szczęścia?...

— Pani jesteś tak młodą... młodszą od wielu dziewic dzisiejszych.

Eliza westchnęła. Pochyliła głowę a w czarnych jéj oczach zabłysły dwie łzy jak dwa okazałe brylanty.

Bardzo piękna była w téj chwili. Hrabia wpatrzył się w nią z niemałem zajęciem. Smutna twarz jego zaczęła się ożywiać. Wziął ją za rękę.

— Pani byłaś tak długo moją powiernicą, rzekł miękkim głosem, użycz mi pani tego szczęścia, abym choć w części mógł być jéj powiernikiem.

Spojrzała przez łzy na niego.

— Ja pana rozumiałam, odrzekła, ale czy pan mógłbyś mnie zrozumiéć?...

— Serce moje obiecuje mi...

— Czy potrafiłbyś pan zrozumiéć kobietę, która z zupełnem zaparciem się siebie mogła drugim dopomagać do szczęścia co może wcale nie było jéj szczęściem?...

Hrabia podniósł białą rączkę do ust swoich.

— Czy pan umiałbyś pojąć, co to znaczy usługiwać głodnemu innym biesiadnikom przy stole?...

— Pani! zawołał z namiętnością hrabia, teraz widzę, że to co się stało, stało się dla mego szczęścia!

— Ach, jak łatwo wierzysz pan w szczęście!

— Przyznam się pani że przeczuwałem je od dawna, ale myśl pierwotnie powzięta kazała mi mimowoli iść taką drogą...

— Która zaprowadziła pana...

— Do serca pani!

Roziskrzyły się oczy Elizy, ale w téj chwili dał się w przyległym pokoju słyszyć szelest.

— Zapewnie matka czego potrzebuje, rzekła szybko do hrabiego, który jéj rękę mocno ściskał i namiętnem okiem na nią patrzał, żegnam pana!

— W téj chwili pani mnie żegnasz? zapytał z chmurką na czole hrabia.

— Właśnie w chwili bardzo dobréj, odpowiedziała z rozkosznym uśmiechem Eliza, bo jesteś pan jeszcze pacyentem, a to cobyś dzisiaj chciał uczynić, wyglądałoby na *par*... Jutro... pojutrze będziesz pan rekonwalescentem! *adieu*!

Rzekłszy to ścisnęła go gorąco za rękę i znikła za drzwiami drugiego pokoju.

Zwolna i zamyślony wyszedł hrabia do sieni.

XVII.

Na drugi dzień bardzo wesoło było w tym samym pokoju, w którym niedawno rozegrały się te dwie tak różne od siebie sceny. Eliza była rozpromieniona, pan Salezy o własnych siłach przechadzał się od drzwi do okna, a pani Apolonia jak zwykle z kobiecą robótką w ręku miała na głowie tak świeży a nawet wytworny czepeczek z szafirowemi wstążkami, jakby jakiego niepospolitego gościa oczekiwała. Wprawdzie o rezultacie ostatecznym rozmowy wczorajszéj Elizy z hrabią jeszcze nic nie wiedziała, bo Eliza przedewszystkiem była przezorna i przed czasem nie chciała żadnych biuletyn zwycięztwa wydawać, mimo to na jéj twarzy była taka radość, jakby w całéj rodzinie nastały jakieś lepsze czasy.

W saméj rzeczy był powód do téj radości powszechnéj bo od świtu gościł już śród rodziny, Maryan.

Przyjechał rannym pociągiem, gdy jeszcze ciemno było, przepłynął gondolą cały wielki kanał i zastał czuwającą już Elizę, która podrażniona jeszcze wczorajszą rozmową rzuciła się mu ze łzami radości na szyję. Wkrótce dołączyli się i rodzice do téj sceny, a Maryan przepędził pierwszych kilka godzin w tak rozkosznem oszołomieniu, że nawet o kłopotach swoich zapomniał. Nie zapomniał jednak o jednéj rzeczy, czy raczéj o człowieku, który mu tę podróż ułatwił, o zacnym i poczciwym panu Krzystofie. Zaraz na wstępie zaczął się rozwodzić o zacności tego człowieka, o jego poświęceniu się dla przyjaciela, który zrzekłszy się swoich osobistych, gorąco upragnionych przyjemności, został na gospodarstwie przy gorzelni i wołach! Niezaniedbał także wiele innych dobrych rzeczy o nim powiedzieć i przedstawić go jako człowieka bardzo zacnych przymiotów.

Eliza tym razem cierpliwie słuchała brata. Była nawet tak dobra i uprzejma że kilka razy przyznała bratu słuszność a nawet o niektóre szczegóły tyczące się pana Krzysztofa z pewnym interesem się dopytywała. Inaczéj być nie mogło. Serce jéj biło dzisiaj żywiéj, częścią z powodu przyjazdu brata a częścią dla wspomnień wczorajszych. Dzisiaj nie mogła źle życzyć, dzisiaj wszystkich kochała. Przyznała wyraźnie bratu, że pan Krzysztof jest bardzo zacny i poczciwy a nawet obiecała przypisać się do niego w liście brata, aby mu za tyle trudu i zacności podziękować.

Maryan był bardzo kontent, że dla zacnego przyjaciela coś już zrobił, co mogło dać mu nadzieje, że późniéj więcéj może da się przeprowadzić.

I wszystkim było teraz bardzo dobrze. Mówiono o wszystkiem i o wszystkich, o kraju i Wenecyi, tylko ku wielkiéj niecierpliwości Maryana o Flaminii nikt nie wspomniał. Być może, że wszyscy o tem myśleli, ale jakoś nikt nie miał odwagi wymówić imię, które między nimi nieposlednią zajmowało rolę. Maryan równie nie pytał, bo zdawało mu się, że do rzeczy powszednich nie należy mieszać pewnych marzeń serca ludzkiego, którym należy się chwila więcéj uroczysta.

I tak przy ożywionéj a nie wyczerpanéj jeszcze rozmowie, nadeszło południe a służba hotelowa dała znać, że śniadanie jest już gotowe. Eliza spojrzała kilka razy z balkonu na taras, na którym zazwyczaj o téj porze przechadzała się staruszka z Flaminią, ale na tarasie nie było nikogo. Patrzała nawet na wodę, czy nie obaczy dobrze znanéj tu gondoli z żółtą liberyą, ale takiéj liberyi nigdzie nie było widać.

— Nie wiem dla czego pani Palczewskiéj dzisiaj nie widać? rzekła do rodziców wracając z balkonu.

— Może jest słaba, odpowiedział pan Salezy.

— Jeżeli tak, trzebaby ją odwiedzić, dodała pani Apolonia.

— Słaba nie jest, o tem wiem z pewnością, rzekła Eliza zbierając się do śniadania.

— Czy mówiłaś z Flaminią? zapytał pan Salezy.

Po raz pierwszy usłyszał tu Maryan to imię, nic jednak na to nie powiedział, o nic nie zapytał.

— Nie mówiłam z nią, odpowiedziała Eliza, ale z wczorajszéj rozmowy wnoszę że pani Palczewska nie jest wcale chorą. Ponieważ wybierała się dzisiaj na Lido a nawet miała ochotę płynąć w towarzystwie ojca.

— Bardzo chętnie, odparł pan Salezy, ale jakże się o tem dowiedziéć? Moglibyśmy wszyscy razem zrobić tę wycieczkę.

Tutaj uznał pan Salezy za stosowne, zapoznać syna w krótkich słowach z nową znajomością.

— Można to zrobić bardzo łatwo, ozwała się po chwili Eliza, po śniadaniu pójdę tam, a jeżeli prędko nie wrócę, będzie to znakiem, że pani Palczewska jest zdrowa. Wtedy może rodzice tam nadejdą, a Maryan może także się przyłączyć. Staruszka ucieszy się że kogoś świeżo z kraju przybyłego obaczy, a o Maryanie już wie, że miał przyjechać dzisiaj.

Maryan na to nic nie odpowiedział. Wszyscy zeszli na dół na śniadanie.

Zaraz po śniadaniu, zostawiwszy jeszcze wszystkich w sali jadalnéj, wyszła Eliza, aby staruszkę obaczyć.

Wybiegła na jéj spotkanie Flaminia.

Flaminia była dzisiaj ubraną z pewną niezwykłą starannością. Miała kostium z czarnego welwetu i szafirową krawatkę pod szyją z wykładanym angielskim kołnierzem. Czarny aksamitny kapelusik z czarném piórem leżał na stoliku przygotowany.

Przy czarnéj aksamitnéj barwie wyglądała biała cera jéj twarzy jeszcze bielszą, a złotego koloru włosy były podobne do mgły ozłoconéj promieniami zachodzącego słońca...

Eliza wpatrywała się teraz bez żadnéj już zazdro-

ści w czarowne oczy przyjaciółki z wielką rozkoszą.

— Powiedz mi moja droga, zawołała zaraz po pierwszych uściskach, dlaczego ty dzisiaj taka piękna? Doprawdy nie mogę się napatrzyć na ciebie!

Flaminia zarumieniła się po sam biały rąbek kołnierzyka.

— To skutek wczorajszéj rozmowy! odpowiedziała z uśmiechem zachwycającym.

— A wiesz, podjęła szybko Eliza, jaki to figlarz ten hrabia! Czy wiesz że on mnie w pole wyprowadził!

— W pole cię wyprowadził?

— Tak—wyprowadził mnie w pole. Ciągle mówił ze mną o tobie, a nawet natrącał wyraźnie, że się w tobie kocha i to nawet chce ci sam powiedzieć!.. A tymczasem...

— Tymczasem...

— Był to tylko żart z jego strony, czy raczéj mały romantyczny podstęp—aby mnie jeszcze więcéj podrażnić!

— Widziałam to przecie jasno.

— A on biedak rzeczywiście mną zajęty.

— Powinnaś była o tem wiedzieć.

— Czasami jestem jeszcze naiwną!

— I jakże się potem skończyło?

— Był zachwycony twoją rozmową. Powiada, że jeżeli jemu udała się w części jego rola, to twoja była godna pierwszéj sceny europejskiéj. Chce nawet złożyć mały teatr amatorski.

— Czy nie obraził się czem, gdym mu odpowiadała?

— Wszak wiedział naprzód, że to jest żart tylko z jednéj i z drugiéj strony, że to niejako improwizacya małéj komedyjki!

— Bardzo się z tego cieszę.

— Powiadam ci, był zachwycony po twojem wyjściu... a śmiał się ze swojéj pustoty jak dziecko.

— Bardzo miły człowiek.

— I zaraz potem... formalnie mi się oświadczył.

— Ach, pozwól niech ci pierwsza powinszuję!

— Tylko o tem nie mówi się jeszcze głośno.

— Rozumiem.

Po uściskach spojrzała Eliza jeszcze z raz uwagą na Flaminię. Rozmowa z nią o hrabi udała się wybornie Flaminia w niczem jéj nie podejrzywała. Eliza nie była tylko pewną, czy Flaminia w anielskiéj naiwności swojéj niewinną rolę swoją przyjęła, czy była to tylko nadzwyczajna delikatność przyjaciółki, która oszczędzając przyjaciółce pewnych przykrych uczuć i poniżenia, przyjęła z całą na pozór wiarą interpretacyą wczorajszéj swojéj z hrabią rozmowy. Ani jednym uśmiechem nie dała jéj do poznania, że wzięła to co ona odrzuciła, że jest tylko sukcesorką skarbu, którego ona za skarb uznać nie chciała. Przeciwnie starała się nawet w dalszéj rozmowie rozproszyć wszelkie powątpiewania, które Eliza po mistrzowsku tu i owdzie rzuciła, aby znowu miłości własnéj przyjaciółki swojéj za nadto nie drażnić. Słowem stosunek dwóch tych rywalek wyjaśnił się pięknie jak niebo weneckie, na którem świeciło w téj chwili słońce prawdziwie wiosenne.

— Ale przecież niedobra jesteś, ozwała się w końcu Eliza, ani jednem słówkiem nie zapytasz czy mój brat przyjechał.

Flaminia poczerwieniała.

— Patrz, rzekła do przyjaciółki prowadząc ją do zwierciadła, patrz na moją odpowiedź w zwierciadle. Nie wiem co się to znaczy, że imienia twego brata nie mogę ani wymówić ani usłyszyć bez rumieńca!... A to ty temu winna! Tyle mi o nim nagadałaś, i tak głowę moją rozgorączkowałaś, że wszelka odpowiedzialność na ciebie spadnie, jeżeli głowę do reszty stracę!

(*d. c. n.*)

NA WYSPIE.

NOWELLA

Fr. Spielhagena.

przekład z niemieckiego.

(Dalszy ciąg).

Dokończenie listu Heddy do Olgi.

Ale wszystko mi się, zdaje że filut wiedział tak dobrze jak ja, że już przed czterema miesiącami *Neptun* z Walparaiso wypłynął! A gdyby Gerhardt w tych dniach powrócił? Olgo! czy ty pojmujesz to szczęście! A jeżeli powróci i zastanie Pawła, który nie jest ani przyjacielem jego, ani nawet znajomym, co powie na to? Olgo, nie żartuj ze mnie, ale na tę myśl truchleję!.. Czyż wszyscy mężczyźni muszą się kochać w tobie? zapytasz; zapewne że nie, ale cóż kiedy swemi rozumnemi oczyma patrzy na mnie tak serdecznie i tkliwie? Często wyrzucam sobie że nadto z nim jestem poufałą i serdeczną, ale z nim, który tak jest dobry i przyjacielski, czyż mogę być zimną i ceremonialną? Wszakże stosunku mego z Gerhardem wyjawić mu nie mogę, zwłaszcza teraz, gdy się już od wieków znamy; mógłby mnie wyśmiać i powiedzieć: sąsiadko, czy to ma być ostrzeżenie amants, dla kochanków, lub dla tych, którzy tę rolę odegrać pragną? Droga, luba Olgo, powiedz czy nie mogłabyś w tych dniach przybyć do nas? Jesteś o tyle piękniejszą, mędrszą i lepszą ode mnie, z pewnością gdy ujrzy ciebie, już więcéj ani słówkiem, ani spojrzeniem nie obdarzy swéj małéj sąsiadki, bo żoną jego musi być najpiękniejsza, najmilsza i najrozumniejsza z dziewcząt, a taką ty jesteś tylko, droga moja Olgo! a o ciebie zazdrośną nie będę. Ja zazdrosną! Ale niechże raz już ten list zakończę bo jeszcze więcéj szaleństw gotowam nagadać. Proszę, na wszystko cię proszę ukochana Olgo! przybywaj do nas jak możesz najprędzéj! Twój ojciec z pewnością nie zabroni ci na dni parę wyjechać; wszakże czyni on wszystko co tylko ty zechcesz. Polecam się jego łaskawéj pamięci, łączę ukłony dla cioci twojéj i wszystkich znajomych, a sama przyjmij tysiączne uściski i pocałunki od szalonéj twojéj Heddy.

P. S. Tylko też nie myśl że plamy na papierze od łez pochodzą, po prostu są to krople deszczu, które wiatr na mój stolik zawiał, piszę bowiem przy otwartem oknie a deszcz od rana leje jak z cebra.

Rozdział XIII.

Podczas gdy Hedda w swoim pokoju na górze list ten do przyjaciółki pisała, na dole Klementyna nie odstępowała łóżeczka swojego syna. Szare, ciężkiemi chmurami pokryte niebo, nie przepuszczało jasnych promieni słońca, zmrok prawie panował w pokoju a ściemniało się bardziéj jeszcze, za każdym razem gdy przechodziła jedna z chmur deszczowych, które dzisiaj bezustannie nad Nedurem ciągnęły. To ponure oświetlenie zupełnie odpowiadało usposobieniu w jakiem dzisiaj znajdowała się młoda kobieta. Wprawdzie obawa o Pawełka okazała się zbyteczną; już wesoło bawił się zabawkami na swojéj kołderce i miło uśmiechał się do matki, która zamyślona, poważnie spoglądała na niego, uśmiechając się smutnie. Lekka słabość dziecięcia była tylko pozorem jakiego użyła chcąc skłonić Gustawa do przybycia. Chciała widzieć męża, pomówić z nim; dlaczego? tego nie wiedziała sama, może dlatego by mu zadać pytanie które niekiedy już sama sobie czyniła, ale nigdy tak często jak w ostatnich czasach, pytanie: czemu nie jestem szczęśliwą? bo rzeczywiście nie była nią Klementyna.

Wyszła za człowieka którego zacność i prawość charakteru wysoko ceniła; Bóg obdarzył ją ślicznem dziecięciem, a potrzeby jéj choćby o pięć, czy dziesięć razy większe, mogła majątkiem swoim zaspokoić: zawsze tylko drugim starała się dobrze czynić a serce jéj nie plamiły złe myśli, ona, pod każdym względem tak hojnie obdarzona jak mało kto z ludzi, a przytem tak skromna jak mało, nie była przecież szczęśliwą! O! jakże więc trudno szczęśliwym być na téj ziemi.

Widać że było przeznaczeniem Klementyny ani być kochaną tak jak na to zasługiwała, ani przekonać się saméj jak bardzo kochać by mogła; a to niejasne, lecz istniejące uczucie téj niezaspokojonéj tęsknoty, rzucało cień na czyste jéj życie. Gdy raz przed Pawłem istnienie nasze zagadką nazwała, był to wyraźny dowód, że życie nie spełniło pragnień jéj serca; a gdy Paweł wskazywał na poezyą jako na pośredniczkę pomiędzy tęsknotą naszą a ideałem, nie była to dla niéj pociecha, gdyż pieśni płynące z jéj serca nie miały słów, a te melodye, które o zmroku lub przy księżycu słyszała, nie mogła zamienić w tony. Jéj boleść, a nawet rądość jéj była niemą, rany które zadawało życie, znosiła spokojnie, w milczeniu czyniła powinność swoją, a do tego stopnia była skromną, że wstydziła się gdy ją kto ocenial według jéj rzeczywistéj wartości.

Główne rysy charakteru Klementyny dobrze poznał Paweł, ale go nie rozumiał tak jasno. Nie mógł sobie wytłomaczyć tych pozornych sprzeczności: czynnéj miłości bliźniego z zimnem prawie usposobieniem téj skromności z pokorą graniczącéj, z dziwną drażliwością, któréj jedynym powodem mogła być łatwo obrażająca się duma; i nareszcie nie pojmował stosunków jej względem Gustawa, ani téż pana von Elze. Porucznik był właściwie pierwszym mężczyzną, oprócz jéj męża, który się zbliżył do młodéj kobiety.

Samotne życie na wyspie, którego wpływu na rozwój wszelkich uczuć, już Paweł i Hedda na sobie doznali, przyczyniło się niemało do rozwinięcia poufałego stosunku pomiędzy Klementyną a panem von Elze, który zresztą czynił wszystko aby go wywołać. Pierwszą przyczyną pociągającą go do młodéj kobiety była jéj piękność, potem nudy którym się oprzéć nie mógł, a nakoniec odkrycie które mniemał być prawdziwem, że Klementyna mając o tyle starszego męża, nie może być szczęśliwą. Dla człowieka bez serca, od dawnych lat przywykłego do podobnych intryg, którego główną namiętnością była próżność mogąca go czynić śmiesznym, gdyby nie był o tyle mądrym i nie ukrywał jéj pod pozorem naturalnego, nawet szorstkiego usposobienia, dla takiego człowieka wszystko to było więcéj niż dostatecznem aby probować roli zdobywcy, która tak mu się tutaj łatwą zdawała, tembardziéj że jego nader wątpliwa moralność żadnych mu nie stawiała przeszkód. I jak się to często zdarza, obojętna zrazu gra którą dla rozrywki rozpoczął, pomału zamieniła się w gwałtowną namiętność, a próżność jego tem więcéj podniecona została, gdy się przekonał że zwycięztwo nie było łatwem, bo w sercu młodéj kobiety żyło coś silniejszego od najzręczniejszych sofi-

zmatów namiętności. Ta myśl doprowadzała go niekiedy do wściekłości prawie, i nieraz już nieczysta jego skłonność do téj pięknéj, łagodnéj istoty o mało w nienawiść się nie zamieniła: zapominał się do tego stopnia ze dozwalał objawiać się lekceważeniu jakie miał dla Gustawa, którego nieocenionych przymiotów nie rozumiał, a które to lekceważenie dotąd starannie ukrywał pod maską przyjaźni i serdeczności.

Nie uszło to bystréj uwagi Pawła i dziwił się jak Klementyna nie spostrzega tego albo też widzieć nie chce; a więc wywnioskował sobie że człowiek ten ma u niéj większe względy niż to dozwolonem jest choćby przy najsłabszéj miłości dla męża; nie zastanawiał się nad tem że Klementyna nie zdolna jest ani do zapomnienia swych obowiązków, ani do tak powszedniéj miłości, a przyjemność z jaką przyjmuje grzeczność pana von Elze, jest tylko małą zemstą za tę zwykłą codzienną miłość którą jéj mąż okazywał. Bezustanne nadskakiwania i grzeczności jakiemi otaczał ją porucznik, widoczne robiły na niéj wrażenie, że zaś nie była zalotną, więc zachwyt który jéj okazywał uważała za prawdziwie szczery; a prócz tego współczucie jakie dla niego miała wypływało z innych, mniéj egoistycznych pobudek. Bolała nad tem, że człowiek téj wiedzy i zdolności na zawsze wypartym był z drogi, która mogła mu przynieść zaszczyty i sławę, i to nie z własnéj nawet winy; historyę bowiem swoją sam opowiadał Klementynie. Młodość jako paź przepędził u Dworu... Był on towarzyszem broni, zabaw i podróży jednego z młodych książąt—i czego nie pominął, wspólnikiem różnych wielu jego wybryków i awantturek. Ów zbyt poufały stosunek tych dwóch ludzi, który zjednał im był przydomek „*Oresta i Pyllada*“, niebawem został zerwany i zapewne byłoby przyszło do głośnéj zwady i nieprzyjaźni, gdyby na przeszkodzie temu, nie stało wysokie stanowisko księcia. Do uszu publiczności doszły o sprawie téj następne szczegóły: Pyllades starał się o pewną młodą damę z wysokiego towarzystwa—początkowo Orest sprzyjał bardzo temu związkowi, lecz potém sam uczuł silną skłonność do przyszłéj małżonki przyjaciela, i pragnąc za jedną drogą usunąć go ale dopomódz mu w karyerze, wyjednał dla niego dyplomatyczną misyą przy jednym z obcych dworów.

Półroczne zaś jego oddalenie spożytkował tak dobrze, że gdy Pyllades powrócił, zastał już narzeczoną swoją urzędową kochanką wspaniałego Oresta. Nieszczęśliwy Pyllades nie umiał się z losem pogodzić, i nie bacząc na wysokie stanowisko Oresta, w uniesieniu swojém dopuścił się sceny która zaszkodziła mu témbardziéj, iż tenże był jego wojskowym zwierzchnikiem.

Zdradzony i w nagrodę za to wygnany Pyllades, wzbudził litość w sercu Klementyny, pojmowała niezadowolnienie z jego losu, a że był nieszczęśliwym, nie mógł być złym w jéj oczach. Ona, która do współczucia drugich nigdy nie rościła prawa i to co najboleśniejsze w milczeniu ukrywała, chętnie skłaniała ucho na skargi innych, gdyż biorąc miarę z siebie, sądziła że boleść która nie może być niemą, w istocie do niezniesienia być musi. Był jeszcze inny powód który głównie wpłynął na ich zbliżenie, a który istotę mniéj niewinną a więcéj doświadczoną jak Klementyna, byłby zraził z pewnością. Pan Elze utrzymywał że jest zadziwiająco podobną do owéj płochéj piękności, któréj wdziękom została poświęconą przyjaźń Oresta i Pyllada, chociaż co prawda nie pochlebiało to wcale młodéj kobiecie, zawsze jednak fakt ten dawał pole do wielu zajmujących rozmów. We wszystkiem jest do pani podobną, mówił, w chodzie, w spojrzeniu, w postaci, nawet w kolorze włosów, oczu i w dźwięku głosu i to do tego stopnia, że często zrywam się przerażony, gdy niespodzianie w drugim pokoju usłyszę głos pani. Ale nie posiadała ona téj pewności siebie, spokoju z którym pani przez życie kroczy i sądzi o życiu, tego właśnie brakowało nieszczęsnemu, namiętnemu dziecku; inaczéj przez chwilową próżność nie byłaby popełniła kroku, który opłakiwać i żałować będzie.

Chociaż z początku to podobieństwo nie było jéj przyjemnem, ale nie przypuszczała nawet żeby zmyślonem być mogło; do téj chwili zaledwo przeczuwała zuchwałą namiętność pana von Elze, widziała jednak że nie wszystko było tak jak być powinno i to właśnie czyniło ją tak smutną i posępną, w ten deszczowy, pochmurny poranek. Uważała że od jakiegoś czasu mąż jéj coraz rzadziéj do Nedur przybywa, a gdy przyjedzie zamyślony jest i poważniejszy niż zwykle; łatwo jednak wytłomaczyła to sobie tysiącem innych powodów i chętnie poddała się ruchliwemu, weselszemu życiu, które z przyjazdem Pawła na spokojną wyspę zawitało. Że częściéj teraz widywała pana von Elze, że rozmowy ich stały się więcej poufałe, że na wspólnych wycieczkach był zawsze sługą i towarzyszem Klementyny, tak jak był nim Paweł dla Heddy, to wszystko wydawało się jéj naturalne i zrozumiałe, jako prosta grzeczność towarzyska. Przedwczoraj dopiero uderzyła ją dziwna, niewytłomaczona niechęć Gustawa, wskutek któréj nie chciał należéć do wycieczki na mogiły Hunnów, lecz w tejże saméj chwili obudziła się jéj duma i rzekła sobie: to dobrze! jedźmy bez niego! Potem ze smutkiem w sercu patrzyła na troskliwą, prawie macierzyńską opiekę jaką Paweł swoją sąsiadkę otaczał, on tak jawny nieprzyjaciel czułostkowych oznak, a gdy następnie w łodzi, pan von Elze wygłaszał jak wielką jest jego wdzięczność dla tych którzy ulitowali się nad opuszczonym, zbolałego ukoili, zniechęconego do życia łagodnem słowem prawie z życiem tem pogodzili; jak on jej nigdy nie zapomni i zapomniéć nie może co uczyniła dla niego, jak mu boleśnie opuścić za dni parę tych, którymby pragnął przez całe życie dawać dowody najżywszéj wdzięczności, gdy wśród rozmowy uniesiony zapałem *Klementyną* ją nazwał, a chwytając jéj rękę o przyjaźń błagał tylko, gdy między niemi o miłości niestety! mowy być nie mogło, nie odtrąciła téj bezinteresownéj przyjaźni, a na uścisk ręki odpowiedziała uściskiem.

Wczorajsza rozmowa Pawła z porucznikiem o małżeństwie, dała jéj dużo do myślenia.

Czy to przypadkiem tylko, tak teraz często rozmowa na ten temat wpada? Czy miał w tem Paweł widoczny jaki zamiar, czy poprostu rozwijał zapatrywanie swoje, gdy powstawał tak często przeciw fałszywemu idealizmowi w małżeństwie? On zazwyczaj tak wzniosłych pojęć, utrzymywał tym razem że w stosunku małżonków wielka heroiczna namiętność, prędzéj nagany aniżeli pochwały jest godną. A potem na przechadzce, znowu ten przedmiot podniósł porucznik i z żywością mówił przeciw małżeństwu, które nie spoczywa na nieograniczonéj miłości stron obu, dając zlekka do zrozumienia, że on to właśnie do takiéj miłości do takiego małżeństwa stworzony, kładąc nacisk na to: że szczególnym zbiegiem okoliczności okrutny los dwa razy w podobnych sobie istotach pokazuje mu szczęście, które udziałem jego nigdy być nie może. To wszystko niepokoiło, rozstrajało, gnębiło Klementynę. Dlaczego mąż nie przeczuwa że żona potrzebuje rady jego i podpory? Dlaczego posłów musi słać do niego by mu powiedziéć że serce jéj przepełnione łzami? A jeżeli ma do niéj żal jaki, czemu sam nie powie jéj tego? Może już zaufania nie ma do niéj a może nie miał go nigdy? Myśli te wywołały łzy serdeczne z oczów młodéj kobiety, i ona którą mąż nigdy nie widział płaczącą, płakała teraz namiętnie pochylona nad łóżeczkiem ich dziecięcia. Lecz łez tych potok nie był owem ochładzającem źródłem, z którego dzisiaj rano Hedda orzeźwienie czerpała, gdy panorama życia pokazała jéj dwa młodzieńcze oblicza, które patrzyły na nią serdecznie, oczyma pełnemi miłości a jednak pełnemi wyrzutu.

Rozdział XIV.

Płynąc do baggeru dnia tego, Paweł chętnie byłby się uwolnił od towarzystwa komendanta. Pragnął on choć raz bez przeszkody być sam na sam z Gustawem, od dawna wiedział że on ma do niego zaufanie bez granic, a radę jego ceni wyżéj niż na to często zasługiwała, lub niż znośnem było dla jego skromności. Teraz więcéj niż kiedykolwiek Gustaw potrzebował dobréj rady, a Paweł czuł, że w tym wypadku będzie ona musiała być daną z przezornością największą, by nie była podobną do tych silnych trucizn, co niebacznie zastosowane, zarażają i niszczą cały organizm gdy przeciwnie we właściwym czasie i w stosownéj dozie użyte, cudowną siłą przemagają chorobę. A więc z każdym słowem należało mu się obliczać z wielką bacznością. Miał jednak Paweł nadzieję że w ciągu dnia znajdzie upragnioną sposobność, a tymczasem wrażliwy jego temperament pozwolił mu brać żywy udział w opowiadaniu komendanta, które on od czasu do czasu za każdym razem gdy łódź w biegu zboczyła, monotonnym *ree*! przerywał.

Gdy do flotylli baggeru przybyli, jak najserdeczniéj powitał ich Gustaw na pokładzie *Orla* który tylko co z wycieczki powrócił; a żart Pawła: że on jedynie chciał mu dowieść że nawet bez Hery potrafi być Leandrem, tak dobrze się powiódł że Gustaw przyrzekł razem z nimi w południe do Nedur powrócić. Po chwili siedzieli w kajucie przy drugim stole zarzuconym mapami i pisaniną Gustawa, zapijając grog, ów sorbet żeglarzy, który na okręcie wydaje się najlepiéj i właściwie tylko za stołem w kajucie powinien być smakowany. I żeglarskich przygód najlepiej słuchać na morzu w kajucie, gdy deszcz o dach szklanny uderza, fale głucho o ściany okrętu się rozbijają, a szklanki brzęczą na stole. Podobnie legendy i bajki tylko przy kołowrotkach niewyczerpanie płyną, a warczenie kółek najlepiéj im towarzyszy podczas gdy na dworze wiatr igra z płatkami sypiącego śniegu. Gdy wicher w kominie przeraźliwie zawyje, dziewczęta i kobiety w mniejsze skupiają się koła, opowiadają ciszéj, i z podwójną słuchają uwagą. I tak zasiadłszy we trzech przy stole, pan komendant głos zabrał a Paweł zapomniał po co tu właściwie przybył i Gustaw nawet uspokoił się choć na chwilę i odegnał dręczące myśli, które w nocy odejmowały mu niejedną snu godzinę. Wraz z walecznym kapitanem coraz szybciéj pędzeni byli wściekłością burzy ku skałom wybrzeża Wales, daremne doświadczenie i przezorność kapitana, daremna odwaga i wytrwałość załogi!... olbrzymią falą rzucony okręt rozbija się o rafę, a kto może szuka ocalenia wdrapując się z trudnością na szczyt skały. Wszyscy szczęśliwie na niéj się znaleźli, jeden z nich zginął tylko wśród wzburzonéj fali, a był to odważny, ośmnastoletni chłopak jedyny syn biednéj wdowy. Przesiąknięci deszczem i słoną pianą, zziębli, skurczeni, siedzą razem na szczycie skały, prócz życia nie uratowali nic zgoła, lecz i to utracić muszą, po za nimi jak daleko oko sięga roztacza się nieskończony ocean, który bezustannie toczy burzliwe fale, a tuż przed nimi skaliste wybrzeże w około którego trwożliwie latają mewy: pomiędzy wybrzeżem a rafą, wir; ów wir

niespokojny, kipiący, okropny, a morze coraz szybciéj wzbiera. Wśród czarnych chmur krwawo zachodzi słońce, zaczyna się noc, a z nią wzmaga się trwoga; wprawdzie jest to noc letnia, krótka, zaledwo parę godzin trwająca, ale dostatecznie długa by myśl o domu, dziecku i żonie, niejednemu z nich złamała serce, a czarny włos siwizną okryła. Już dwaj pokonani zimnem, głodem i znużeniem, na zawsze oczy zamknęli. Nazajutrz uspokoiło się morze; mieszkańcy wybrzeża przybyli by nieść pomoc rozbiskom z których jeden najodważniejszy i najlepszy pływak, umocowawszy linę z nią na brzeg się dostał, i tym sposobem utworzył most, za pomocą którego, ci co żyli uratować się mogli. Tym odważnym był sternik załogi, tak twierdził komendant, ale że oddawna umarł już w Indyach zachodnich, faktu tego sprawdzić niepodobna, a nawet gdyby i żył ów sternik, nie postąpiłby wbrew subordynacyi, przecząc swojemu kapitanowi.

Innym znowu razem z tymże samym kapitanem, płyną po szerokich falach oceanu Spokojnego; z czystego bez chmur nieba, wśród dnia pali ogniste słońce, a wśród nocy roztacza się nad nimi wspaniały obraz południowego sklepienia, błyszczący gwiazd milionami. W cienistéj, głębokiéj zatoce wyspy, rzucają kotwicę i zaopatrują się w wodę. Na małych swych łódkach przybywają wyspiarze i przywożą im orzechy kokosowe i soczyste owoce w plecionych koszykach, z których jeden stoi teraz na stoliku Heddy.

Wśród pięknych, dobrych ludzi, w spokojnéj, cienistéj zatoce, tak upodobała sobie załoga, że z chęcią pozostałaby tutaj i aby ją do dalszéj drogi nakłonić, kapitan całéj swojéj przewagi użyć musiał. Tylko jeden z nich pozostał na zawsze, pożarły go okrutne rekiny, gdy wbrew zakazowi kapitana pluskał się w ciepłéj wodzie téj bezpiecznéj, spokojnéj zatoki. Następnie rozpoczął komendant znakomitą historyą walki swego *Szonera* z łodziami malajskich korsarzy, a Paweł z tem większą ciekawością jéj słuchał, że już trzy razy zaczynał ją komendant nie kończąc nigdy, gdyż za każdym razem stawała na przeszkodzie któraś z innych rozlicznych jego powieści. Ale niestety! i teraz nie dowiedział się jeszcze jak się skończyła walka; jedna z dwóch armat z któréj cały dzień strzelano pękła, do drugiéj zabrakło już nabojów, i właśnie w téj najkrytyczniejszéj chwili, gdy korsarze haki na okręt zarzucić mieli, komendant przerwał opowiadanie, gdyż do kajuty wszedł gość nowy, mały, stary jegomość z głową jak śnieg białą, w granatowym płaszczu o stalowych guzikach z którego woda ściekała. Był to płatnik kasy baggeru, który w tejże chwili z miasta przybywał, bo dziś właśnie była sobota dzień wypłaty; przywoził także nową dla Gustawa robotę i nowe rozporządzenia co do przeniesienia gdzieindziéj robót baggeru.

(d. c. n).

Kronika Paryzka.

(Dokończenie).

Niepodobna oznaczyć przyszłego kierunku utworów dramatycznych, prawdopodobnie jednak wytworzonym będzie pewnego rodzaju klasycyzm nowożytny, biorący *rzeczywistość* współczesną za przedmiot utworów. Dawniejsi pisarze, potrzebowali kryć się pod opiekuńcze skrzydła starożytnego świata, przenosząc na deski teatralne znakomitsze z téj epoki wypadki i charaktery; obecnie poważniejsza treść do komedyi lub dramatów, braną będzie z ważniejszych kwestyi społecznych, lub politycznych, dotyczących niekoniecznie Francyi, ale i innych narodowości. Przyszłość trudna do odgadnięcia, niepodobna robić w téj mierze żadnego nacisku, niedalekie wypadki zaprzeczyć mogą rozumowaniu, choćby na pozór najbardziej zasadnemu. W każdym jednak razie widoczne są w tym kierunku usiłowania, współzawodniczące z sobą dyrekcye teatralne usiłują wprowadzić do sztuki najróżnorodniejsze żywioły, sięgając nawet krańcowego wschodu. Przed kilkoma dniami mieliśmy tego najlepszy dowód w teatrze Gaité, gdzie na tak zwanym *poranku*, pomiędzy godziną drugą a piątą po południu, przedstawioną była sztuka japońska, z wszelką możliwą dokładnością przenoszącą nas do krainy wschodzącego słońca, i zniewalającą zapomnieć o Paryżu i jego mieszkańcach.

Przedmiot tak niezwykły zasługuje na bliższy opis.

Zarządzająca głównie teatrem Gaité panna Marya Dumas powzięła myśl połączenia różnych epok historycznych u najrozmaitszych narodów, w jednem wspólnem ognisku sztuki. Z kolei więc starożytni Grecy i Rzymianie, Anglicy, Polacy, Niemcy, Hiszpanie, Włochy, Rossyanie, jednem słowem wszystkie narody połączone mniéj więcéj wspólnością cywilizacyi, przedstawione były albo we własnych swych utworach, albo też dostarczyły z przeszłości swéj lub czasów obecnych, przedmiotu do odpowiednich utworów. Zrobiona próba widocznie ze względów kasowych powiodła się, ponieważ niezmordowana dyrekcya z drogi raz obranéj nie schodzi, urządza nawet w tym kierunku prawdziwe niespodzianki dla niewtajemniczonych, jak to miało miejsce z teatrem japońskim. O ile nam jednak wiadomo, sami Japończycy dokładali wszelkich usiłowań, aby sztuka przez jednego z nich napisana przedstawioną była w Paryżu.

Widowisko tyle niezwykłe, wymagało pewnego objaśnienia. Z téj przyczyny pan Burty, znany ze swych prac dotyczących krańcowego wschodu, uproszonym został o zrobienie odczytu, mającego być pośrednikiem niejako między publicznością a nową sztuką.

Teatra japońskie, mówił pan Burty, zbudowane są wedle odrębnych zupełnie prawideł, odpowiednich do zwyczajów miejscowych. Widowiska rozpoczynane są rano i trwają do wieczora, jeżeli sztuka nie została skończoną w ciągu *jednego dnia*, odłożoną jest na dzień następny, niekiedy nawet ostatnie akta, przedstawione są zaledwie dnia trzeciego. W podobnych warunkach życie familijne przeniesione jest do lóż teatralnych; widzowie zabierają z sobą pokarm, napoje, tytoń, fajki; niepodobna bowiem przy największéj nawet rozrywce umysłowéj, zapomnieć o niezbędnych potrzebach ciała. Odgrywane sztuki nie są ani dyalogiem literackim wedle wzorów średniowiecznych, ani nie są przepełnione wypadkami, uwydatniającemi charaktery lub namiętności serca. Są one raczéj szeregiem obrazów stawianych obok siebie, których niewielki związek między sobą, można dostrzedz zaledwo w zakończeniu. W téj mierze przypominają słabą stronę dramatów szekspirowskich. Zazwyczaj sztuka japońska napisana jest na tle historycznem, mając za główną podstawę zemstę, z powodu popełnionego morderstwa, lub wyrządzonéj zniewagi. Bujna a nieujęta w należne karby wyobraźnia autora, dozwala mu bujać swobodnie nie uważając za konieczne w jednéj i téj saméj sztuce, przedstawiać li tylko wypadki ujęte wspólnym węzłem intrygi.

W jednych teatrach grywają sami tylko mężczyźni, z pomocą młodych chłopców przebranych za kobiety; w innych znowu przeciwnie same kobiety uwydatniają swój talent artystyczny; są nareszcie widowiska różne zupełnie od europejskich, w których aktorzy przedstawiają jedynie mimikę i giesta, a stojący w pośród nich lektor, odczytuje sztukę przy odpowiednich zmianach głosu. Co kraj to obyczaj!

Przysłowie to można zastosować jeszcze więcéj co do samych przedstawień. Zmiany dekoracyi następują po sobie bardzo szybko z powodu desek ruchomych; artyści jednak zniewoleni są zachowywać *kilka minut* jedną i tę samą postawę, zanim pokończone maszynerye dozwolą na dalszy przebieg sztuki.

Wiele jest bardzo szczegółów rażących oko europejskie, a uważanych w Japonii za zwyczajne. Artyści wchodzą na scenę jedną z dwóch dróg ułożonych z desek, przecinających salę i widocznych dla zebranéj publiczności. Aktor umierający na scenie, zniewolonym jest dopełnić téj czynności z matematyczną dokładnością, nie pomijając ani jednego ruchu konwulsyjnego, ani jednéj czkawki dławiącéj piersi. Dla ułatwienia patrzącym, posługacz na długim kiju mając zapaloną świecę, stoi nad umierającym, chcąc promieniami rzuconego światła uwydatnić lepiéj wyraz twarzy. W trakcie tego jeden z nieboszczyków wydawszy wedle przepisanéj formy ostatnie tchnienie, wstaje i idzie na odpoczynek, a podobna samowola nie razi wcale nikogo.

Pan Burty dał treść jednéj ze sztuk japońskich. Policyant łapie trzech mężczyzn, grających wbrew zakazowi w karty na ulicy; wedle przepisu powinien ich odprowadzić do więzienia, nietylko jednak puszcza wolno winowajców, ale co gorsza sam daje się złudzić nadzieją zysku i siada do gry. Po wielu zmiennych kolejach, przegrywa posiadaną gotówkę, ubranie, kapelusz, a nawet szablę oznakę dostojeństwa i władzy.

W tym stanie spotyka go gubernator prowincyi, skazuje za karę, ani mniéj ani więcéj, tylko na rozprucie brzucha; rodzaj śmierci zastępujący na wschodzie nasze gilotyny i szubienice. Egzekucya dokonaną jest na scenie wśród grzmotu oklasków, wynagradzających wierne podanie wszystkich szczegółów śmierci nieszczęśliwego policyanta.

Pan Masana Maëda układając sztukę z obyczai japońskich na scenę paryzką, miał widocznie na względzie odmienny gust Europejczyków; nie ma ani jednéj sceny wstrętnéj dla nas a zachwycającéj dla jego rodaków. Autor jednak nie jest przejętym tak dalece prawidłami sztuki pojętéj po europejsku, aby uniknąć różnych błędów właściwych utworom wschodnim. Zbytnia rozwlekłość szkodzi sztuce, zniewalając zebraną publiczność do słuchania długiéj gadaniny, lub patrzenia na obrazy nie mające związku z całością.

W dramacie Yamato słuchając pierwszego aktu, bierzemy za bohatera sztuki naczelnika spiskujących niejakiego Yossiho, udającego umyślnie pijaka i człowieka niemoralnego, aby zbadać lepiéj obyczaje na dworze księcia, przeciwko któremu działanie tajemne jest skierowanem. Zaledwo jednak wzbudzone zajęcie słuchaczy oczekuje ukazania się Yossiho z niecierpliwością, gdy nagle nabiera przekonania: że dotychczas jeszcze sztuka we właściwem znaczeniu tego wyrazu rozpoczęta nie została i jéj prawdziwy bohater Masana, po raz pierwszy dopiero ukazał się na scenie.

Otóż spiskujący potrzebują wysłać jednego z ludzi zaufanych ze zleceniami od spełnienia których zawisło życie wielu osób. Posłannikiem tym jest właśnie Masana, który przed puszczeniem się w drogę nader niebezpieczną, idzie pożegnać się z żoną i matką. Młoda żona stara się odwieść męża od

podróży, z tego powodu następuje dyalog długości przerażającéj; zamiar jéj uwieńczony jest w części powodzeniem, mąż zostaje całą noc w domu, chociaż sprawa wymagała jak największego pośpiechu. Związkowi stosownie do umowy przychodzą zawiadomić Hasimę, imię młodéj żony, o wyjeździe Masany, gdy tymczasem z największem oburzeniem zastają jego samego. Winowajca okryty zostaje największemi zniewagami, żaden uczciwy Japończyk nie poda mu ręki; niedbalstwo i lekceważenie w pewnych wypadkach stawione są na równi ze zwykłą zdradą. Masanie nie pozostaje nic innego jak tylko umrzeć; w tym celu wydobywa sztylet chcąc przebić się; zamiaru jednak swego nie mógł doprowadzić do skutku, ponieważ matka jego Kosame wydziera mu z ręki broń mówiąc:

— Za karę żyj abyś odpokutował zbrodnię przez siebie popełnioną i oczyścił nazwisko swe z pokrywającéj hańby. W zastępstwie za ciebie ja umrę, jestem grzesznicą, wychowałam syna niedołęgę, zdolnego w objęciach żony zapomnieć o najważniejszych sprawach narodowych.

Mówiąc to dzielna kobieta przebija się, dając niezaprzeczony dowód wysokiéj wzniosłości uczuć.

Pomimo wad wytkniętych powyżéj, publiczność paryzka przyjęła jak najlepiéj sztukę japońską. Do jéj powodzenia przyczyniło się zapewne zręczne połączenie najróżnorodniejszych uczuć: wedle obyczaju francuzkiego, płacz i śmiech idą nadzwyczaj blizko siebie, spotykając się prawie na każdym kroku. Autor japoński nie łamiąc wcale praw towarzyskich, potrafił wysnuć dramat zajmujący, co powinnoby zawstydzić niejednego z pisarzy europejskich. Przedstawienie jednak męża dla pieszczot żony narażającego się na śmierć, zadziwiło niejednego ze słuchaczy patrzących na życie z odmiennego zupełnie stanowiska.

— Prawdopodobnie, mówił jeden z nich, Masana i Hasima tylko co pobrali się, w razie przeciwnym nawiązony węzeł dramatyczny możnaby okryć największą śmiesznością.

W dramacie Yamato, w roli właśnie nieszczęsnego Masany, występuje rodak nasz pan Bolesław Pluciński, pod przybranem nazwiskiem Dutertre. Urodzony w Lublinie przewieziony został w dziecinnych latach do Paryża, gdzie pobierając nauki nabrał wymowy prawdziwie francuzkiéj, co jednak nie wywarło wpływu na akcent polski. Pan Pluciński mówi obydwoma językami czysto i poprawnie. Początkowo wszedł na drogę handlową, będącą we Francyi jedną z ważnych dźwigni ogólnego dobrobytu. Mimo doznanego powodzenia w tym kierunku, duch artystyczny nie dał mu pokoju, wzywając na inne pole pracy. Wszelkie początki są trudne, a w zawodzie artystycznym są trudniejsze niż gdziekolwiek bądź indziéj, pan Pluciński jednak posiadał dostateczną siłę woli do zwyciężenia stawianych przeszkód, do niezrażania się doznanemi zawodami. Znalazłszy zachętę u ludzi obznajmionych dokładnie ze wszystkiemi tajemnicami sztuki dramatycznéj i prawidłami deklamacyi, miał odwagę do wytrwania na tyle ciernistéj drodze. Obecne powołanie go na scenę jednego z pierwszorzędnych teatrów paryzkich, jest rękojmią dalszego powodzenia, czego życzymy mu z całego serca.

Korespondencya z Niemiec.

Srebrne wesele cesarza Franciszka i cesarzowéj Elżbiety. Ogólna nędza i podwyższenie podatków w cesarstwie niemieckiem. Nowa taryfa celna. O wpływie kolei żelaznych na wyludnianie wsi. Ruch wydawniczy w Niemczech. Dzieło Scher'a o ostatniéj wojnie francuzko-niemieckiéj. „Dawne i nowe czasy" ostatnie dzieło Fryderyka von Weech. „Traktaty dyplomatyczne z czasów rewolucyi francuzkiéj" p. Hermana Hüffer. „Podróż po Oceanie spokojnym" Maksa Buchner'a. „Wrażenie z podróży na około świata" p. kapitana Freiherr. Gustawa Freytag ostatni utwór, p. n. „Les Grandidiers." Wilhelma Jensen romans historyczny p. n. „Za tron cesarski." Człowiek przedhistoryczny w krajach północnych i w Polsce. P. Starks „Archeologia sztuki." Nowy dramat pięcio aktowy Gustawa Pullitz p. n. „Rolf Berndt. Sztuczka jednoaktowa Auerbacha p. n. „Szczególniejsza kobieta."

2 maja 1879 r.

Pisząc z Niemiec obecnie, niepodobna nie rozpocząć korespondencyi od opisu wiedeńskich uroczystości jubileuszowych, nie wywołanych nakazem ani rozporządzeniem urzędowem, ale będących wynikiem ogólnego uznania i przywiązania do monarchy, który osobistemi przymiotami i dobrotliwością jednaką dla wszystkich poddanych bez różnicy szczepu i narodowości, zjednał sobie ogólną ich miłość i ufność. Podobnie uroczystego i wspaniałego obchodu, Europa nie widziała od wieków.

Właściwie uroczystości jubileuszowe rozpoczęły się już 21 z. m. gdyż w tym dniu miało już miejsce przyjęcie przez cesarstwo deputacyi różnych krajów podległych berłu Franciszka-Józefa. Następnego dnia, o 1-éj po południu, przedstawiała się deputacya galicyjska, którą cesarz przyjął bardzo serdecznie. Składali ją przeważnie posłowie i najznakomitsi obywatele, razem przeszło dwieście osób w stroju narodowym, wspaniałym i bogatym. Przewodniczył jéj hrabia Krasicki. Dotąd, na wszelkich wystąpieniach, największem bogactwem stroju odznaczali się Węgrzy; obecnie zaćmili ich deputaci galicyjscy. Cesarstwo przyjęli deputacyą tę z wielkiem odznaczeniem, na powitanie zeszli z tronu na środek sali. Może zdawało im się że to cienie tych rycerzy, którzy pod wodzą Sobieskiego ocalili Austryą a z nią całe chrześciaństwo... Cesarz przemawiał po polsku, głos jego drżał ze wzruszenia.

Wychodząc z audyencyi, deputacya galicyjska spotkała się z bośniacką i sprobowała przemówić do niéj po polsku, zrozumieli się wybornie z wielkiem obustronnem zadowolnieniem.

Tegoż dnia wieczorem, arcyksiążę Ludwik sprawił cesarstwu niespodziankę urządzeniem żywych obrazów, przedstawiających główniejsze epoki historyczne z dziejów domu Habsburgskiego. Zaproszonych było bardzo szczupłe grono osób, a w obrazach przyjmowały udział same prawie osoby należące do rodziny cesarskiéj i arcyksiążęcych. Układem obrazów zajmowali się Makart, Angeli i Brioschi, kierownictwo powierzonem zostało Jauner'owi.

Obrazy te przedstawiane były z historyczną wiernością, a większość akcessoryi byłą autentyczną. Do takich należą trofea wojenne i niektóre klejnoty pochodzące ze skarbca cesarskiego. Młody arcyksiążę Rudolf, następca tronu, przedstawiający Karola V był tak doskonale ucharakteryzowany iż prawie niepodobna było go poznać, i przywdział klejnoty noszone kiedyś przez monarchę którego odtwarzał. Podczas przedstawienia, ukryta muzyka grała kompozycye odnoszące się do epoki żywych obrazów, a na zakończenie orkiestra wykonała hymn Habsburgów, i przyjmujący udział w przedstawieniu książęta i księżniczki weszli parami w porządku chronologicznym i składali cesarstwu powinszowania i życzenia. Cesarstwo, swoim zwyczajem, wcześnie, bo o dziesiątéj opuścili zabawę. a po zostałych arcyksiążę Karol-Ludwik zatrzymał na wieczerzę.

Do biesiadnego stołu zasiadł szereg historycznych postaci, powołanych do życia w całe wieki po swoim zgonie, jak cesarz Karol V, Maksymilian I, Leopold I, Marya-Teresa, Eugeniusz Sabaudzki i t. d. Od tak dostojnego towarzystwa nie wyłączono artystów, którzy przyczynili się do uświetnienia widowiska; obok książąt krwi zajęli miejsca książęta sztuki, Hans Makart, profesor Angely i Gaul, malarze, poeta Weilen, dyrektor teatru Jauner i muzyk Halmesberger. Ogólna radość i przywiązanie do cesarskiéj pary, kazały zapominać o różnicy stanowisk społecznych. Po wieczerzy rozpoczęły się tańce i trwały blizko do 1 po północy.

Do uroczystości jubileuszowych zaliczyć także trzeba poświęcenie i oddanie duchowieństwu *ślubowanego kościoła* (Votivkirche), w obecności arcyksięcia Karola-Ludwika, kardynała arcybiskupa i licznego duchowieństwa. Pamiętny jest zapewnie Czytelniczkom zamach dokonany na życie cesarza Franciszka-Józefa, w d. 19 lutego 1853, przez Węgra Libeny'ego, jakotéż zamiar powzięty zaraz przez brata cesarskiego arcyksięcia Maksymilana, późniejszego cesarza Meksykańskiego, aby na pamiątkę smutnego tego wydarzenia wznieść kościół ze składek. Jak tylko ogłosił odezwę do ludów wchodzących w skład cesarstwa austryackiego, w krótkim czasie zebrało się 1,500,000 guldenów i zaraz postanowiono rozpocząć budowę świątyni, która przybrała nazwę kościoła ślubowanego. Z pomiędzy licznych nadesłanych na konkurs planów, wybrany został plan Henryka Ferstel'a, któremu też powierzono kierunek budowy. Kamień węgielny położony został d. 24 kwietnia 1856 r. tak więc od poświęcenia upłynęło lat 23. Ten kamień węgielny sprowadzono z Góry Oliwnéj, z tejże skały na któréj Jezus Chrystus modlił się przed swojem ukrzyżowaniem. Z najodleglejszych stron świata nadsyłano dary do ozdoby budującéj się świątyni. Wice-król Egiptu, Mehmed Said, przysłał dwadzieścia kilka brył alabastru, z tych łomów z których czerpano także na filary Ś. Piotra w Rzymie; zmarły papież, Pius IX podarował arcy piękną mozajkę a Maronici z Libanu kilkanaście pni cedrowych z lasu, który, jak niesie tradycya, dostarczył drzewa na budowę słynnéj świątyni Salomona.

Cały kościół jest w stylu gotyckim, zbudowany z kamienia ciosowego; ma 150 łokci długości; dwie wieże tejże wysokości, misterne rzeźby kamienne, liczne posągi i ślicznie wykończone ozdoby. Po nad głównem wejściem umieszczone jest wielkie kolorowe okno, dach otoczony jest suto złoconą kratą żelazną, kryty łupkiem szarym i czarnym. Oprócz wejścia głównego od strony miasta, są dwa boczne. Dzwonów kościół ten posiada siedm, wszystkie są ulane z armat zdobytych na Turkach przez króla Jana Sobieskiego które tenże pozostawił w Wiedniu (1683 r.)

Wspaniałe wnętrze odpowiada wytwornéj zewnętrznéj architekturze. W wielkim ołtarzu umieszczona jest bronzowa figura Zbawiciela; wznosi się na podstawie wspierającéj się na 12 słupach marmurowych. Okna świątyni ozdobione są wspaniałemi malowaniami na szkle; są to po większéj części ofiary i wota różnych osób. To tylko niekoniecznie jest stosowne, iż zamiast postaci świętych lub obrazów z Pisma św. poumieszczano wizerunki rozmaitych osób, którym pamięci ofiarodawcy je poświęcili. Najpiękniejszem jest okno przedstawiające arcyksięcia Maksymiliana, rozpatrującego plan kościoła. W innem oknie, urządzonem kosztem miasta Wiednia, umieszczono cesarza Franciszka-Józefa w postawie klęczącéj, a za nim smok mający

oznaczać owego Libany'ego, który zabójczą dłoń zwrócił przeciw swemu monarsze.

Obrzęd poświęcenia rozpoczął się po siódméj rano i dokonany został przez arcybiskupa wiedeńskiego ks. Kutchkera, któremu towarzyszyło samych biskupów aż 32. Pierwszą odprawiono Mszę św. na intencyą srebrnego wesela monarszéj pary.

Od samego rana lud zapełnił ulice i plac przed kościołem, aby przypatrywać się powozom jadącym do kościoła i z kościoła do Burgu. Cesarz przywdział paradny marszałkowski mundur, cesarzowa z powodu chłodnego dnia otuliła się wielkim szalem; publiczność przez całą drogę witała ich pełnemi zapału okrzykami, kto ich nie słyszał nie wyobrazi sobie podobnego zapału. Cały dwór, deputacye, ciało dyplomatyczne, duchowieństwo, najpierwsi dygnitarze i zaproszone osoby, zebrały się w kościele już o 10 éj. Pod wspaniałym kwiatami przystrojonym baldachinem, ciągnącym się przez cały plac aż do drzwi kościelnych, stały dwoma rzędami sieroty ubrane w bieli (dwanaście z nich cesarzowa wyposażyła); przy wejściu komitet budowniczy, któremu przywodził burmistrz Wiednia oraz ministrowie oczekujący przybycia cesarskiéj pary, którą arcyksiążę Karol-Ludwik pierwszy wystąpił powitać.

Cesarstwo zajechali o saméj jedenastéj; uderzono we wszystkie dzwony; kapele wojskowe zagrały hymn narodowy. Kler powstał w presbyteryum i powolnie postąpił ku wielkim drzwiom, które niezwłocznie pierwszy raz się rozwarły i weszła dostojna para. Na środku kościoła oczekiwał kardynał arcybiskup Kutschker i powiedział krótką przemowę, poczem cesarstwo i cały towarzyszący orszak weszli do presbyteryum. Po obu stronach wielkiego ołtarza stały klęczniki złotą materyą pokryte. Kardynał rozpoczął Mszę św. Cesarz i cesarzowa uklękli na klęcznikach i tak modląc się wysłuchali całego nabożeństwa. Podczas Mszy św. stowarzyszenia muzyczne wykonały Mszę Haydna.

Odprawiwszy św. Ofiarę kardynał zaintonował *Te Deum* poczem wszyscy arcybiskupi i biskupi wyszli procesyonalnie z presbyteryum, tworząc szpaler ku głównym drzwiom w pośrodku którego przeszli dostojni jubilaci z całą rodziną. Przy wyjściu kilka biało ubranych dziewic ofiarowały cesarzowéj od Wiedenek prześliczny bukiet; monarchini podziękowała z właściwym sobie wdziękiem. Artylerya dała kilka wystrzałów, cesarstwo odjechali do Burgu.

(*d. c. n.*)

KORESPONDENCYA Z WŁOCŁAWKA.

Wśród tysiąca prowincyonalnych baśni które są karmem dla dusz próżniaczych, zaczęła krążyć pogłoska zbyt smutna, że pracownia kobiet istniejąca lat kilka pod kierownictwem pani Bufle, upadła!... Z radością przychodzi mi ogłosić publicznie, że tak nie jest!

Co dało początek krążącéj baśni? nie wiemy... Czy przeniesienie zakładu z jednéj ulicy na drugą, czy zawiść gdy zakład ściągał w swe ożywione ściany pracownice i interesantki, czy duch czasu niestety, gdy pod naciskiem ogólnéj biedy, bracia bliźni usuwają wzajemnie grunt z pod stóp swoich, bojując o chleba kawałek zlany potem ciężkiego znoju, a częstokroć i upokorzenia?

Wolelibyśmy o brak dobréj woli nie posądzać, pragnęlibyśmy by wiek dziewiętnasty był zasiewem spokoju, równości i braterstwa, by niwa zroszona krwią i łzami wydała dla przyszłości, lepsze czasy, a przy nich dobrobyt i zgodę...

Pracownia kobiet przeniesioną została w aleję prowadzącą do kolei; warsztaty szewcki i introligatorski w ciągłym są ruchu, lekcye kroju codzienne a panna Justyna Wolicka chlubi się uczennicami, które pracę rąk swoich, koronki, wysyłają do Warszawy i za granicę wzbudzając ogólne uwielbienie.

Wachlarz koronkowy wykonany przez panią Emilią Krzeczkowską, żonę dyrektora tutejszego banku, zasłynął w Berlinie, gdzie był wysłany do oprawy, i mieszkańcy z nad Sprei, upraszają o dostawę koronek, pajęczéj tkaniny snutéj rękoma zręcznych i pracowitych Polek.

Rękawiczki koronkowe panny Wolickiéj pojawią się wkrótce w magazynach Warszawskich i przyjęte zostaną z uznaniem jak w Petersburgu, Wiedniu i innych stolicach. Koronki te zwracały uwagę na wystawie krajowéj.

Alfą i omegą wszelkich dążności naszych, winną być praca! Do niéj zachęcamy, bez względu czy ludzie posądzą nas, jak już miało miejsce, o interes, a radę i głos serca ochrzczą imieniem rachuby.

Mylne są sądy ludzkie, biada tym co trzeźwym wzrokiem nie patrzą w przyszłe życia koleje! Spójrzmy dokoła smutnéj ziemi naszéj a rozgląd ten da nam obraz bardzo niepochlebny. Toż i w naszéj pracowni różne spotykaliśmy postacie. Młode dziewoje pod puklerzem pracy szukając pewniejszego bytu na przyszłość nabywające przekonania, że praca tylko wyradza dobrobyt, a zakładanie złotych nadziei na małżeństwie staje się częstokroć bańką mydlaną lub rzewnym rezultatem lubo w osiągniętych celach. Wszak i dola filarów społecznych, na pajęczéj zawieszona nitce!... Jutro nie nasze! jutro ciężka zagadka, jutro to gra w loteryą!...

Spotykaliśmy i mężatki przy szydle lub introligatorni z poczciwą chęcią połączenia pracy z trudami mężów swoich i matki, trwożne o dziatki swoje które uczyły się pracować by zdobyć grosz na wychowanie cór i synów, na utorowanie im drogi do światła, do wiedzy! Witaliśmy w pracowni i zwarzone wichrem jesiennym istoty, ze skronią posiwiałą, złamane, zawiedzione młodości obietnicami, wygnane z uścisków losu szydercy i pod starość garnące się pod skrzydło pracy by uniknąć stanowiska totum fackich rezydentek.

Za młodu, za młodu uczcie się pracować dziewczki rodaczki moje a Bóg szczęścić i błogosławić Wam będzie!

W pracowni pani Bufle, wykładane będą nauki niedzielne, języki, buchalterya a wedle chęci talenta jako to: malarstwo, rysunki, muzyka, śpiew i tańce.

W otworzonym przy pracowni magazynie dostać można kwiatów, koronek i garderoby dziecinnéj. Wszelkie obstalunki introligatorskie przyjmują się.

Paulina Biernacka.

OPIS RYCINY KOLOROWÉJ.

Ubranie spacerowe dla małéj dziewczynki. Sukienka z niebieskiego kaszmiru zakończona u dołu plisowaniem, nad którem dane kilka rzędów plisek i patki wycięte prosto. Środek przodu oddzielony wzdłuż plisą, przybrany poprzecznem fałdowaniem, przepinaném kokardami. Rękawy zakończone tak samo jak sukienka. Kapotka z niebieskiéj faille z białem piórem.

Ubranie spacerowe. Z jasno piaskowego beżu i pekinu w paski, składa się z przybranéj spódnicy i stanika z długą kamizelką; kołnierz i mankiety z ciemniejszego atłasu, guziki ażurowe z konchy perłowéj. Kapelusz biały krepowy zdobny piórem piaskowém i różowém i wstążką w tych kolorach.

Ubranie wizytowe. Suknia princesse z faille granatowéj, ma odznaczony z przodu stanik i tunikę przez naszycie szlaków, haftowanych kolorowemi jedwabiami na gazie białéj. Tylne bryty sukni podpięte w bufy naszyte są u dołu kilkoma rzędami falbanki układanéj w kontrafałdy.

Ubranie małéj dziewczynki. Biała pikowa sukienka princesse, zapinana z boku, ozdobiona haftowanemi wszywkami i falbankami.

Rozwiązanie Szarady zamieszczonej w N. 19.
Na-rze-ka-nie.

Ottomar Wolle
Jeometra przysięgły w Kaliszu
wydał plany miasta Kalisza z lat: 1785, 1825 i 1878 w trzech sekcyach. Nabywać można w mieszkaniu wydawcy Rynek, dom J. Wilkanowicza N. 24 w Kaliszu, oraz w Warszawie u pana Edmunda Kowalskiego, Nowolipie Nr. 12 nowy. Cena kompletu niekolorowanego rs. 3; półkolorowanego rs. 4; cały kolorowany rs. 5.

Helena Dąbrowska
przedstawia Guwernantki i Guwernerów tak cudzoziemców jak i krajowego pochodzenia. **Adres:** *Pani Helena Dąbrowska, w Warszawie, Krakowskie Przedmieście Nr. 71, wprost wystawy obrazów Towarzystwa Zachęty Sztuk pięknych.* Imię *Helena* należy zawsze wypisywać.

Przyjaciela Dzieci Nr. 20 wyszedł z druku i zawiera:
Ruiny zamku we wsi Krupe (z drzeworytem). — Wiosna (wiersz). — Możni panowie XIV wieku (z drzeworytem). —O Wszechświecie. — Poczciwe zamiary. — Pogadanki z Ojcem. w Dodatku: Zaczarowana Magdusia (Komedyjka).

Prenumerata wynosi kwartalnie:
w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.
Adres: Do **J. K. Gregorowicza.** *Ulica Chmielna Nr. 1530 (nowy 20).*

Tygodnika Rolniczego Nr. 19 wyszedł z druku i zawiera:
Z praktyki gospodarskiéj — O zarazie buraków.—Przegląd pism rolniczych zagranicznych. O wapnieniu, marglowaniu i gipsowaniu. Racyonalny sposób sadzenia ziemniaków. Soczewico-wyka.—Kronika rolnicza.—O wyrabianiu sera. — Wiadomości krajowe i handlowe.

Prenumerata wynosi:
w Warszawie, kwartalnie rs. 1 kop. 20.
na Prowincyi, „ rs. 1 kop. 50.
Adres: Do Redakcyi **Tygodnika Rolniczego** *w Warszawie Ulica Chmielna N. 1530 (20).*

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 1 Мая 1879 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 20, r. 1879.

SZALONE OŻENIENIE.

przez
M. A. Fleming.
przekład z Angielskiego
przez J. B.

(Ciąg dalszy).

Wspaniały przedsionek poprzedzał peron kamienny, na stopniach którego leżały dwa wielkie wyżły kamienne, wypisanym starożytnem godłem: *Cave canem*. Był to gmach bardzo starożytny; jedna część jego sięgała panowania Henryka VIII, tego dzikiego zwolennika małżeństwa. Był króleswki podarek Jego arcy-chrześciańskiéj Mości, ofiarowany sir Gaspardowi Caryll, rycerzowi i kuzynowi Katarzyny Paar, z okoliczności jego ostatniego małżeństwa.

Sir Gaspard Caryll już przeszło od lat trzystu spoczywa po za ołtarzem w kościele Rorhaweńskim, a napis wyryty na miedzianéj blasze opiewa jego cnoty i przymioty; iluż to Caryll'ów przyszło na świat, pożeniło się i pomarło od owego czasu w tych murach z szarego kamienia! Stare nieprzerwane zadanie życia; rodzić się, łączyć i schodzić ze świata, powtarzało się wiele razy w tym odwiecznym gmachu, a obecnie, po śmierci Esq: Godfreda Caryll, panuje w nim i rządzi wdowa jego, pani Mariana Caryll.

Stary dziedziczny pałac został nieco odmłodzony. Dodano mu modne okna i zwierciadła; w jednym z salonów ułożono wysadzoną kosztownem drzewem posadzkę; schody zostały pokryte puszystym kobiercem; a żardiniery zaopatrzone w najrzadsze kwiaty, wielkiego dodają uroku starym komnatom. Kwiatów wszędzie było pełno; w urnach w złoconych wazonach, w koszyczkach spuszczających się od sufitu, a wszystko to jaśniało pozłocone światłem słonecznym, które padając z ukosa na wszystkie te przedmiota, zdawało się pokrywać je jakby drobniutkim złotem deszczem.

Ostatnie blaski pięknego dnia jesiennego, gasły powoli nad morzem i nad lasem; cień zapadał na łąki i zarośla; okna pałacu, od strony morza, jakby iskry błyszczały przez drzewa.

Cisza i spokój wieczorny roztaczały się zwolna po nad wioską, w chwili gdy wielką bramą wjeżdżał w aleję wiodącą do pałacu, elegancki faeton zaprzężony w parę pięknych poney'ów. Na wyniosłem siedzeniu, siedziała wyprostowana pani, silną i pewna dłonią trzymając wodze. Ubrana w żałobne szaty, była to pani starożytnego pałacu.

Grom poskoczył odebrać lejce. Gdy pani Carlyll wysiadła z powozu, patrzący na nią obcy przechodzeń poznałby od razu że jest wielka i bardzo dystyngowana dama, nie pokazująca swoich czterdziestu lat. Była wysokiego wzrostu, blada, dumna, zimna, energiczna, i może piękniejsza teraz w dojrzałym wieku, niż była za młodu.

„Może za prędko jechałam od opactwa Dineli, Morganie, rzekła do grooma. Dopilnuj aby poneye wolno przeprowadzono i dobrze wyszczotkowano. Czy kuryer przybył?

Służący ukłonił się jakby żołnierz przed oficerem.

— Był tu przed godziną, proszę jaśnie pani. Pójdę czuwać aby się zajęto poneyami!

Pani Caryll wolnym, miarowym krokiem wchodziła na kamienne schody, i minąwszy ogromną sklepioną salę której ściany pokrywały zbroje i trofea myśliwskie, weszła na okazałe schody prowadzące do jéj apartamentu. Różowawe światło zachodzącego słońca rozjaśniało całe te wykwintnie umeblowane pokoje; na stoliku wysadzanym kosztowném drzewem pani wspaniałego gmachu zobaczyła czego szukała... list zapieczętowany.

Pomimo jéj zimnéj i sztywnéj postawy, uczuła że serce gwałtownie uderzyło jéj w piersiach, jednak, zgodne z charakterystyczną cechą kobiecéj natury, najpierw zdjęła powoli kapelusz, woalkę i rękawiczki, a potem dopiero śmiało list pochwyciła. Popatrzyła chwilę na pewne i wprawne tak dobrze znane sobie pismo, poczem rozdarłszy kopertę, zaczęła czytać co następuje:

Londyn, 25 października, 18...

„Najukochańsza matko!

Przybędę za chwilę. Wyjeżdżam pierwszym pociągiem. Piszę te słów kilka aby cię zawiadomić o moim przyjeździe. List mój uprzedzi mnie o wiele czasu. Spodziewam się że pomimo wszystkiego, choćby po raz ostatni zechcesz widzieć się ze mną.

Najprzywiązańszy syn.
Gordon Caryll."

Przeczytawszy, pani Caryll zgniotła list w swéj silnéj białéj dłoni; przy blasku promieni zachodzącego słońca można było dojrzéć że twarz jéj blada i bez wyrazu pobladła jeszcze, usta zacisnęły, tworząc tylko jakby cienką, sztywną linię.

„Najukochańsza matko! Najprzywiązańszy syn! rzekła z goryczą spoglądając na list. Tak... nie myli się, zobaczę go... po raz ostatni. Od dziś wieczór powiem sobie że nie mam syna!"

Włożyła list w kopertę i systematycznie schowała do szuflady pomiędzy inne. Powolne i metodyczne ruchy stały się drugą jéj naturą.

„Tak, tak, myślała, zobaczę go raz jeszcze... raz ostatni... Wysłucham wszystkiego co tylko uzna stosownem przedstawić mi na swoją obronę... tak dla niego jak dla wszystkich w ogóle spełnię zawsze co nakazuje obowiązek... ale bądź co bądź, po dzisiejszem widzeniu nigdy go już widzieć nie będę."

Spojrzała na zegarek. Pociąg którym miał przyjechać zapewne już przybył—za chwilę on stanie przed nią. Już dwa lata jak go nie widziała.

Był ukochanym jéj synem, skarbem jéj serca, radością jéj oczu, jedynem dzieckiem, i była osamotniona zostawszy wdową. Cała jéj dusza i uczucie macierzyńskie przemawiało za nim, a przecież kazała mu milczéć i postanowiła sobie stanowczo nie widzieć go więcéj i odtrącić na zawsze.

Chodziła po pokoju, nareszcie zatrzymała się przed kominkiem, po nad którym zawieszone były dwa jedyne w tym pokoju obrazy, dwa portrety. Jeden z nich, ten właśnie w który się wpatrywała, był to portret zmarłego jéj męża, malowany przed dwudziestu laty, w szczęśliwych dniach ich młodości. Był to podarunek ofiarowany młodéj żonie.. piękna twarz... wszyscy Caryll'owie odznaczali się pięknością, a ta dumna i zimna kobieta, tak umiejąca panować nad sobą, kochała tego męża głęboką i stałą miłością. I jego zwłoki spoczęły w Rorhaweńskim kościele; odprowadzono je tam przed miesiącem. Umierał młodo jeszcze, a rad był śmierci uwalniającéj go od hańby jaką jedyny syn ściągnął na niego.

„Są rzeczy których przebaczenia sam nawet Bóg od nas wymagać nie może, pomyślała, a jego postępek do takich właśnie się zalicza."

Pod tym portretem zawieszony był mniejszy, to portret jéj syna. Malowany był dwa lata temu, gdy wyjeżdżał do pułku konsystującego w Kanadzie, Piękna i otwarta twarz dwudziesto-letniego młodzieńca, o siwych oczach i złoto-blond włosach, zdawała się uśmiechać do niéi. Pewną ręką odwróciła portret do ściany; drobny to szczegół, wskazuje jednak wymownie iż Gordon Caryll mało bardzo może rachować na litość i przebaczenie matki, przed którą miał stanąć za chwilę.

Noc nadchodziła, blady księżyc wschodził na zamglone niebo. Drzewa lekko poruszane wiatrem wiejącym od morza, rzucały długie, skośne i ruchome cienie na drogę wiodącą ze wsi do stacyi kolei. Omnibus drogi żelaznéj wtoczył się w ulicę ocienioną drzewami, i w krótce zatrzymał się przed domem. Wyskoczył z niego młody mężczyzna, zapłacił konduktorowi i kazał odjechać, sam zaś stanął i rozglądał się do koła, o ile pozwalało na to słabe światło księżyca. Dwa lata upłynęły od dnia w którym opuścił to miejsce... tylko dwa lata. Wszystko jak było dawniéj... nic nie uległo zmianie prócz jego życia i szału jego nieopatrznéj młodości. Piękna i obłudna twarz kobiety, wyzuła go na zawsze ze wszystkiego.

Wracał aby się spotkać oko w oko z Nemezys swego przeznaczenia... aby się dowiedzieć ile jeszcze złego lub dobrego życie przynieść mu miało. Stał nieruchomy jak posąg, i rzucał długie, przeciągłe spojrzenia w cienistą aleję i w kręte ulice, które wijąc się wśród drzew wiodły do parku za pałacem.

Nasuwało mu się na myśl tysiące wspomnień z błogich chwil jego młodzieńczego wieku, kiedy był ukochanym dziecięciem rodziców, kiedy on dla nich a oni dla niego byli wszystkim na świecie. Obrazy i wspomnienia z tych dni szczęśliwych napływały tłumnie do jego pamięci, nie mógł uwolnić się od nich.

Chodził tam i napowrót jakby chciał zebrać myśli oderwać je od owéj złotéj przeszłości niestety! już staconéj na zawsze, i zwrócić je do posępnéj teraźniejszości, zapowiadającéj przyszłość pozbawioną najlżejszéj nawet iskierki nadziei.

W końcu, wysiłkiem woli opanował miotające nim wzruszenie, i z twarzą spokojną choć posępną zbliżył się szybko do pałacu.

Uderzył ciężkim bronzowym młotkiem we drzwi wchodowe, i uderzenie to rozległo się przeciągłem echem w wielkiéj sklepionéj sali. Otworzył mu stary sługa jego rodziny i powitał go okrzykiem podziwienia i radości.

„Czy to być może!... Pan Gordon wrócił!...

— Tak, pan Gordon wrócił. Złe powraca zawsze, wszak prawda? Jakże się masz Nortonie?.. Czy zastałem moją matkę?

— Tak, panie Gordonie; jest w swoim pokoju. Nie potrzebuję wskazywać panu drogi...

— Idź, Nortonie, oznajmić pani że przyjechałem. zaczekam tu na ciebie.

Stary sługa z zadziwieniem spojrzał na niego, ale spełnił jego rozkaz. Gordon Caryll pozostał sam w wielkiéj pustéj sali, która przy świetle księżyca wydawała się jeszcze posępniejszą. Nie był pewnym czy pomimo jego listu, matka przyjąć go zechce.

Przybycie Nortona rozproszyło tę wątpliwość.

„Pani oczekuje na pana w swoim pokoju.

Pośpieszył na jéj wezwanie. Więc chciała go widzieć; zaledwie śmiał spodziewać się tego. Może... może zechce mu przebaczyć... kto wie? Wbiegł lekko na schody i zapukał do drzwi tak dobrze mu znanych.

„Prosze wejść... odezwał się w pokoju głos jego matki.

Matka i syn stanęli w obec siebe. Pokój był rzęsiście oświetlony; pani Caryl stała na środku wyprostowana, w długiéj żałobnéj sukni, we wdowim czepku na czarnych włosach; z twarzą tak zimną jak gdyby była wykutą z marmuru. Gdyby w téj chwili mógł sobie z tego zdać sprawę, byłby mógł sądzić że widzi własną swoją postać, kiedy stał blady i nieubłagany przed kobietą która była jego żoną.

„Matko!

Szybkim ruchem ręki wskazała mu aby nie zbliżał się do niéj, ruchem podobnym do tego którym on odtrącił Rozamundę. Był jéj posłusznym, zamknął drzwi, już od téj chwili znał jaka czekała go przyszłość.

Przez parę minut wpatrywała się w niego w milczeniu, zawsze z równie surowym wyrazem twarzy. Widziała jak strasznie zmienił się przez te dwa lata jak twarz jego postarzała, oczy się zapadły, lica pobladły. Zbłądził, ale także cierpiał wiele. Było to zupełnie słusznem; wszakże cierpienie jest nieuniknionem następstem grzechu.

„Matko, przebacz mi!...

Wskazała ręką na obraz wiszący nad kominkiem.

„Wszak wiesz że on umarł? odezwała się nareszcie.

„Wiem, matko! czuję cały ogrom méj winy, wstydu... zbrodni, jeżeli tak chcesz nazwać moje przestępstwo... byłem szalonym. Uczyniłem przecież wszystko co było w méj mocy aby zmiejszyć moje przewinienie. Matko, przebacz mi!...

„Tobie przebaczyć!...

Zatrzymała na nim przez chwilę oczy jakimś strasznym pałające blaskiem.

„Nie przebaczę ci do ostatniéj chwili mego życia, odrzekła.

Postąpił parę kroków, i wsparł rękę na kominku i położył na niéj głowę. Patrzyła na niego stojąc ciągle na jednem miejscu, pierś jéj podnosiła się silnie pod wpływem powstrzymywanego wzruszenia, oczy błyszczały w bladéj twarzy jak dwa rozżarzone węgle.

„Przez trzysta lat Caryll'owie rodzili się, żyli i umierali pod tym dachem, zawsze prawi, zawsze szlachetni, zawsze godni swego nazwiska... i dopiero syn mój wniósł hańbę do tego domu. Nasze nazwisko wolne było od najlżejszéj skazy aż do dnia w którym ty nosić je zacząłeś. Twój dziad ożenił się z córką księcia; ty jedyny potomek twego rodu, szukałeś żony w szumowinach społeczeństwa, wybrałeś aktorkę, która co wieczór prezentowała twarz swą umalowaną na scenie najlichszego teatru nędznéj mieściny. I ja miałabym jeszcze nazywać cię moim synem! Nie, z pewnością... nie mam już syna!

Stał jak posąg z ukrytą twarzą, nie mówiąc ani słowa. To milczenie jego wywierało taki skutek jak gdyby ktoś dolewał oliwy do ognia.

„Miesiąc temu umarł twój ojciec... umarł ze wstydu. Ty jesteś tak samo jego mordercą jak gdybyś był nożem uderzył go w piersi. Nie przebaczył ci umierając... wydziedziczył cię, nie zostawił ci najmniejszego kawałka ziemi, jednego szylinga majątku. Wiedzże o tem że nigdy nie dostaniesz jednego cala z majętności Caryllyne, ani najdrobniejszéj cząstecżki odwiecznego po twych przodkach dziedzictwa. Pozostaje ci tylko nazwisko zniesławione przez ciebie, jest ono twoją własnością, i nikt nie zdoła ci go odebrać, ale też na tem przestać musisz. Dziś po raz ostatni przestąpiłeś próg tego domu.

Ciągle zachowywał głuche milczenie i nieruchomość posągu.

„mówisz że zmniejszyłeś swoją winę, mówiła daléj matka, przytłumionym, namiętnym głosem. Zmniejszyłeś;... To znaczy że szargałeś nazwisko Caryllów w kale rozwodowego procesu, i że wszyscy w Kanadzie i Anglii znają teraz dzieje życia twego i twojéj żony... téj nikczemnéj i zniesławionéj kobiety. To złagodzenie gorsze jeszcze od saméj zbrodni, i przez całe twe życie ciążyć będzie na tobie. Odejdź już! Powiedziałam ci wszystko co miałam powiedzieć. Nigdy ci nie przebaczę... i nigdy już widzieć cię nie będę!..."

Umilkła Gordon Caryll zwrócił na nią spojrzenie które nawet w godzinie śmierci ścigać ją będzie i cięższą jéj sprawi boleść niżeli śmierć sama.

„Niech się więc spełni wola twoja, matko odpowiedział bardzo spokojnie; nie mogłem się spodziewać nic lepszego... i nie zasłużyłem na więcéj pobłażliwości. Nie będę ci już narzucał mojéj obecności. Nie lękaj się także o nazwisko które zniesławiłem mojem postępowaniem, nie będę go już nosił; pozostawię go za tym progiem wraz ze wszystkiem zresztą. Żegnam cię matko, na zawsze!...

Wyszedł. Zamknął cicho drzwi za sobą, i pozostała sama. Już teraz przez całe życie będzie sama... zawsze sama!

Była śmiertelnie blada, krew nawet z ust jéj ustąpiła; ale spełniła swój obowiązek. Ta myśl miała ją pocieszać może przez długie jeszcze lata samotności. Najmniéj przez pół godziny stała jakby przykuta do miejsca w którém ją pozostawił; przez ten cały czas przechodziła straszne męki.

W ciągu téj krótkiéj lecz bolesnéj sceny pożegnania, budziło się nie raz w jéj sercu uczucie litości, zachęcające ją aby do syna wyciągnęła ręce, przebaczyła mu wszystko, i zagrzebała w grobie zapomnienia tę nienawistną przeszłość; ale natychmiast wracała rozwaga a wraz z nią to przekonanie że zaszła zbyt daleko aby się mogła cofnąć i nie spełnić tego co uważała za swą powinność.

Wina jego była ciężką i ściągała najstraszniejsze następstwa na tych wszystkich na których ciężył wpływ jéj zgubny; więc też i kara powinna być wielką, choćby to miało powiększyć bezmiernie własne jéj cierpienia. Sprawiedliwość powinna być wymierzoną, choćby własne jéj serce miało pęknąć z bólu. Tak postanowiła, i wierna temu postanowieniu odtrąciła od siebie to co miała najdroższego na świecie, ale... matka pozostała matką, kiedy już zadanie sędziego zostało spełnione.

Możnaż się dziwić że stanęła w miejscu jak skamieniała, skoro drzwi zamknęły się za nim; zdawało jéj się że światło znikło dla niéj na zawsze, że ją otoczyły głębokie ciemności od których już nigdy uwolnić się nie potrafi. Ocknęła się w końcu, westchnęła, ciężko, przeszła wolno przez pokój, odsunęła aksamitną portierę, i weszła do sąsiedniego gabinetu, stanowiącego jéj kapliczkę. Nad ołtarzykiem wisiała śliczna kopia Madony Sykstyńskiéj. Matka Boża, z twarzą niebiańską i pełną spokoju, piastująca na ręku Boską dziecinę, spoglądała na nieszczęśliwą matkę która wyrzekła się jedynego syna za nierozważny jego postępek.

Przed ołtarzykiem stał klęcznik; pani Caryll zbliżyła się do niego machinalnie, uklękła, i modliła się długo i gorąco, błagając o wytrwałość, błagając o oświecenie jéj umysłu. Potrzebowała tych dwóch rzeczy, bo to co spełniła zakrwawiło ciężko jéj serce a nie zmazała nic z przeszłości, i mogło na przyszłość wydać gorzkie owoce.

II.

Gordon Caryll.

Sprawa została rozsądzoną; wyrok ogłoszonym. Cordon Caryll odchodząc od matki był skazanym na wieczne wygnanie.

„Wszystko dla miłości, choćby przez to świat miał zginąć! rzekł z gorzkim uśmiechem. A jednak pomimo mego szaleństwa, byłem szczęśliwym! Przez cztery miesiące miałem prawdziwy raj na ziemi.. niechaj ta myśl będzie mi pociechą przez wszystkie lata wygnania które mi przeżyć jeszcze wypadnie.

Nie opuścił natychmiast domu. Wahał się czas jakiś, potem wszedł na inne schody, otworzył jedne z drzwi wychodzących na korytarz, i wszedł do swoich dawniéj pokojów. Tylko księżyc oświecał je teraz, ale było tak prawie widno jak w dzień. Przeszedł je ze smutnym uśmiechem na ustach; znajdował wszędzie ślady przywiązania ojca, którego niegdyś był chlubą i nieograniczonéj miłości matki, a te ślady były wszędzie szczodrą rorsypane ręką.

Pokoje jego były urządzone zbytkowniéj nawet niżeli mieszkanie jego matki. Najpiękniejsza kobieta nie mogłaby już wymagać więcéj.

„Wszystko to służyć będzie przyszłemu dziedzicowi mojéj matki, pomyślał Gordon. Prawdopodobnie będzie nim Eryk synek Lucyi Dyneli. Zawsze kochała bardzo Lucyę, w czem zresztą ja się zupełnie z nią zgadzałem. Moja milutka kuzynka mieszka ztąd o siedm mil tylko, a ja mam dosyć czasu; gdybym też odwiedził ją raz jeszcze, zanim puszczę się w świat tak daleko, że już o mnie nie usłyszą nigdy.

Wybrał kilka drobnostek, prócz nich portret matki, téj kuzynki Lucyi o któréj właśnie myślał, fajkę piankową oprawną w złoto, i rzuciwszy raz jeszcze w koło oczyma, zszedł ze schodów, wyszedł z domu zatrzasnął drzwi za sobą, i wszystko było skończone.

Poszedł do stajni i nagłem zjawieniem się przestraszył znajdujących się tam masztalerzy, którzy wzięli go za jakieś widmo.

„Maurycy osiodłaj *Dyamenta*, zawołał. Jadę do Dynely i tam go pozostawię; jutro przyprowadzisz go ztamtąd.

Skoczył lekko na siodło, przejechał prędko przez główną aleję parku, któren już nigdy nie miał należyć do niego, i wyjechał za bramę.

Zatrzymał się wtenczas aby raz jeszcze spojrzyć po za siebie; stara siedziba jego ojców nigdy jeszcze nie wydała mu się tak piękną, wspaniałą i tak pożądaną.

„Dla ładnéj kobiecéj twarzyczki poświęcić tak przepyszne dziedzictwo! pomyślał z goryczą. Oby mój następca był rozsądniejszym odemnie i potrafił ustrzedz się największego szaleństwa jakiego człowiek dopuścić się może... miłości dla kobiety niegodnéj tego uczucia.

Koń jego był rączy. Wspiął go ostrogami i puścił galopem. Z jednéj jego strony migały mu się drzewa lasu Caryllyne, po drugiéj światełka w oknach chatek, a w kuźniach sypały się snopy iskier, tu i owdzie spostrzegał stare kopce rodzinnéj posiadłości, a w dali niezmierzonéj okiem obszar morza.

W niespełna pół godziny przybył do opactwa Dynely, własności i miejsca zamieszkania wice-hrabiego Dynely. Był to ogromny gmach, będący niegdyś klasztorem, za czasów gdy krzyż i tiara wszechpotężny wpływ wywierały w Anglii. Pędził galopem po wielkiéj alei oświeconéj miejscami bladawem światłem księżyca, aż nagle koń jego stanął na widok jakiejś białéj postaci, iż omało nie zrucił jeźdca. Gordon roześmiał się głośno, zeskoczył i pogłaskał wierzchowca.

„Hola! powoli, stary *Dyamencie*. Kto słyszał tak się przeląknąć ładnéj mojéj kuzyneczki Łucyi, ubranéj w bieli!

Przywiązał lejce do drzewa a sam zwrócił się do miejsca w którem przechadzała się kobieta w białéj szacie, otulona białym szalem crêpe de chine.

„Dobry wieczór lady Dynely, rzekł zdejmując kapelusz.

Szła wolno, jakby odbywając obowiązkową, peryodyczną przechadzkę na około stawu. Stanęła zaintrygowana, zobaczywszy wierzchowca i jeźdca. Gdy zbliżył się gość niespodziewany a księżyc oświecił twarz jego, nagle z piesi jéj wydarł się okrzyk zadziwienia i radości i wyciągnęła ku niemu ręce.

„Gordonie! zawołała, czy być może? tyżeś to, Gordonie?

Była to ładna, może dwudziesto trzy letnia kobieta, jasna blondynka, szczupła, wiotka, delikatna. Wyraz szczeréj radości rozpromienił jéj ładną twarzyczkę i niebieskie, duże oczy.

— Ja sam, lady Dynely; wszak prawda że dziś nie spodziewałaś mi się wcale?... a jednak musiałaś wiedzieć że mam przyjechać?

Zarumieniła się i usunęła rękę którą zatrzymał w swéj dłoni.

„Nic nie wiedziałam... Matka twoja była tu dziś wprawdzie, ale nic mi nie powiedziała. Kiedyż przyjechałeś?

— Przed dwoma godzinami. A że rannym jutrzejszym pociągiem odjeżdżam tym razem już na zawsze, więc nie mogłem odkładać i przyjechałem pożegnać się z tobą. Dziwny zbieg okoliczności! czy przypominasz sobie, że dwa lata temu, w takiż sam sierpniowy wieczór, żegnaliśmy się w tem samem miejscu. Pamiętam dobrze iż i wtedy byłaś biało ubrana, i tak jak dziś, śliczna kuzyneczko, wydawałaś się ładną, dobrą, łagodną, bladą jak lilia.

Zarumieniła się znowu, wlepiając zarazem w niego zaniepokojone spojrzenie.

„Pożegnać się ze mną!... odjechać na zawsze!... powtórzyła. Co przez to chcesz powiedzieć, Gordonie? czy widziałeś się z matką?

— Tak, Łucyo, powracam z Caryllyne'a... pożegnałem na zawsze i matkę i gniazdo moje rodzinne.

Stanęła wpatrując się w niego w przykrem milczeniu. Twarz jéj bladła i rumieniła się na przemian. Srebrny blask księżycowego światła dozwolił jéj dojrzeć wielką przerażającą zmianę, zaszłą w jego znękanéj cierpieniem twarzy. Wsparła obie ręce na jego ramieniu, wpatrując się w niego ze słodkiem politowaniem.

„Gordonie... kochany kuzynie, mówiła łagodnie, czy jest co prawdy w téj historyi powtórzonéj przez wszystkie dzienniki, i opowiadanéj po całym Londynie przed naszym tu przyjazdem. Musi to chyba być prawdą, a jednak... jednak, Gordonie zawołała z uniesieniem, wolałabym już była dowiedzieć się o twojéj śmierci!...

— Nie ty jedna byś to wolała, odrzekł z przerażająco obojętnym uśmiechem. A jednak rzeczywiście tak postąpiłem... ale jak na jeden wieczór dość już nasłuchałem się gorzkich, bezlitośnych wyrzutów... a wszak to wieczór ostatni... nie zapominaj o tem... nie miéj sobie za obowiązek orzucać mnie zarzutami i wzgardą... Ładne twoje usteczka, śliczna kuzynko, nie stworzone do wymawiania słów srogich i okrutnych.

Westchnęła ciężko; nie odjęła rąk wspartych na jego ramieniu, a błękitne jéj oczy z wyrazem głębokiéj litości wpatrywały się w twarz jego. On spoglądał smutnie na lilie wodne, nielitościwie szpicrutą ścinając ich główki.

— Ubolewam... serdecznie ubolewam nad tobą... ale, Gordonie, matka twoja musi cię żałować i zapewnie ci przebaczy. Wiem jak jest niezachwianą i nieugiętą, gdy chodzi o coś co uważa za swój obowiązek... ale tu idzie o ciebie... o jedynego jéj syna, którego tak ukochała...

— Wydziedziczyła mnie i wypędza na zawsze... Niech i tak będzie. Nie zaprzeczam że sprawiedliwy to wyrok... ale, pojmujesz to, Łucyo, że od matki spodziewamy się raczéj litości i przebaczenia niżeli surowéj sprawiedliwości.

— Ale matka twoja rozżalona i rozgniewana nie wiedziała, nie chciała pewnie tego powiedzieć... Będzie żałować i przywoła cię do siebie.

Zaśmiał się, ponurym, gorzkim śmiechem.

„Byłoby już trochę zapóźno... Stało się, nie wrócę już nigdy. Matka miała słuszność że poniżyłem moje nazwisko, i tylko zrzekając go się mogę to wynagrodzić. Matka wypędziła mnie z domu swego, a człowiek czujący jeszcze godność swoją nie wystawia się na powtórne usłyszenie takiego rozkazu.

— Ach! jak ona mogła... jak ona mogła to uczynić!... wypędzić ciebie, ciebie, jedynego swego syna!... wszystko co jéj pozostało na świecie... ciebie, którego tak bardzo kochała!... Ach! jak mogła tak postąpić.... Gordonie, i ja także mam syna, mego małego Eryka, ale kocham go tak namiętnie, tak bezmiernie, iż czuję że gdyby nie wiedzieć jaką popełnił zbrodnię... gdyby nawet dopuścił się zabójstwa, miłość moja dla niego nie osłabłaby ani na godzinę. Nie daj Boże, ale gdyby nawet postępował jak najgorszy człowiek, kochałabym go jeszcze i z macierzyńskiem uczuciem przycisnęłabym go do serca...

Rumieniec wystąpił na jéj twarz bladą, oczy zabłysły ogniem, mówiła to głosem czystym i podniesionym. Gordon patrzył na nią z czułością.

„Tak, wierz ci, rzekł po chwili; ale wiesz, Łucyo, że są różne matki, a jakiejże to odmiennéj są natury, wice-hrabina Dynely i lady Caryll! Co do mnie, nigdy nie byłem wielkim wielbicielem Spartanek, gotowych zawsze w pewnych razach zasztyletować choćby najukochańszych, najbliższych krewnych. Przyznaję jednak że zasłużyłem na tak surowy wyrok, jest więc sprawiedliwy.

— Gordonie, proszę cię, opowiedz mi wszystko. Wiem to bardzo niedokładnie, czytałam wprawdzie gazety, ale...

— Czyż warto czas tracić na takie opowiadanie, Łucyo? Historya moja ani zabawna ani ciekawa, czy rzeczywiście chcesz ją poznać?

— Możeszże pytać o to?

— O! śliczna kuzyneczko, znam szczerą twoją dla mnie przychylność, dzięki któréj co tylko mnie się dotyczy nie jest ci obojętnem, ale na cóż męczyć cię opowiadaniem szczegółów szalonego mego wybryku?... Ach! jakimże byłem szaleńcem i niedołęgą! jak niedołężnie pozwoliłem się otumanić i podejść!...

— Więc... więc kochałeś ją, Gordonie?

— Tak, zdaje się była to miłość, ta szalona oślepiająca gorączka, wywołana jéj pięknością i podstępami. Była to czarodziejka któréj szatański urok odbierał rozum i rozwagę każdemu spotkanemu na jéj drodze mężczyźnie, jeźli nie miał co najmniéj lat sześćdziesięciu. Dla czego mogąc miéć u nóg swoich połowę garnizonu, właśnie na mnie zastawiła sidła?... to łatwo pojąć. Byłem najmłodszy, najbogatszy, najnaiwniejszy ze wszystkich w Toronto. Wielu oficerom pozawracała głowy, ale nie doszli stopnia idiotyzmu, niezbędnego do zamiaru pojęcia jéj za żonę. Ja widziałem ją zaledwie sześć razy i zaraz oświadczyłem się o jéj rękę... Nie potrafisz nawet wyobrazić sobie mojéj bezgranicznéj głupoty i otchłani w jaką mnie popchnęła.

— Musiała być bardzo piękną, Gordonie?

— Mało powiedzieć, piękną. Posiadała jakiś urok szatański jakiemu równego nigdy mi się nie zdarzyło spotkać... powab któremu żaden mężczyzna oprzéć się nie zdołał... piękność jéj była upajająca aż do szału... brunetka, biała, różowe kolory, palące południowe oczy... piękność czysto ziemska ale odurzająca. Była nizkiego wzrostu, miała figurkę jakby utoczoną i tak szczupła w pasie iż zdawało się że mocno ścisnąwszy możnaby złamać ją jak gałązkę. Wielkie czarne oczy, ogniste jak u pantery, uśmiech jéj o szał przyprawiał. W Toronto, wszyscy moi koledzy potracili dla niéj głowy, na każdéj uczcie wznoszono toasty na jéj cześć, w całem mieście o niéj tylko mówiono. Kobiety tylko trzymały się zdala od niéj, może odgadywały ją przeczuciem. W tydzień po jéj przybyciu do Toronto, major Lowell i jego córka byli ogólnym przedmiotem rozmów, w salonach, w klubach, w koszarach.

— Więc była z domu panna Lowell? zapytała nieśmiało.

Wicehrabina Dynely wspierała się na ramieniu kuzyna i zwolna chodzili około stawu. W młodocianych latach, Łucya kochała bardzo pięknego kuzyna, towarzysza dziecinnych zabaw, jak utrzymywała było to przywiązanie siostry, nic więcéj.

„Opowiem ci wszystko. Przybyła ona do Toronto po rocznym moim pobycie w tem mieście, który to pobyt był nad wyraz ponury i nudny, gdyż jedyną rozrywkę stanowiły parady, mustry, bale prowincyonalne, obiady i prowincyonalna zalotność pięknych Kanadyanek. Wszystko to było nudne i monotonne, z jéj dopiero przybyciem inne nastało życie, zdawało mi się że ocknąłem się z letargu. Ten major Lowell był to człowiek nie zasługujący na szacunek, pijak, krętacz, oszukujący w karty i w grze bilardowéj; utrzymywał się z połowicznéj retretowéj gaży i najrozmaitszych matactw. Był wdowcem i miał jedną tylko córkę, która nie chcąc mieszkać z tak nikczemnym ojcem, bawiła u jakichś krewnych na wyspach Bermudzkich. Major Lowell w pewnych epokach pojawiał się, w innych znikał z Toronto. Tym razem, po dłuższéj niż zwykle nieobecności, powrócił z córką. Pewnego jesiennego wieczora, chodziłem bez celu po któréjś z głównych ulic, ubra-

ny i oczekując godziny w której w miałem się udać na jakiś proszony obiad. Ciężka to była powinność; to też ziewałem przewidując oczekujące mnie nudy i przeklinając zapraszających na podobne obiady, gdy wtem nadszedł major Lowell. Nie pytając ujął mnie pod rękę. „Idziesz kolega do p. Rogers i prawie umierasz na samą myśl o czekających cię tam przyjemnościach. I na co dobrowolnie skazujesz się na takie nudy, miły przyjacielu... co za potrzeba tak się poświęcać na ołtarzu światowych stosunków?... Zamiast do tego otyłego handlarza drzewem, pójdź lepiéj do skromnego mego mieszkania zagrać partyjkę w *écarté*. Potraktuję cię cynadrami, przyprawionemi jak się uda i kieliszkiem sherry... będziesz mógł wstąpić na chwilę do Rogers'a, po skończonym jego obiedzie. Zresztą, dodał po chwili, spoglądając na mnie z pod oka, chcę ci przedstawić moją córkę; dzięki niebu, namyśliła się nareszcie i przybywa rządzić domem swego starego ojca.“ Nader słaby, a raczéj żadnego prawie nie stawiłem oporu... i poszedłem z majorem. Przyznaję że bardzo lubiłem *écarté* w której to grze major był mistrzem, choć jego lekcye nader drogo kosztowały młodych jak ja adeptów. „Mają także przyjść, Neville, Dalton i kilku jeszcze twoich kolegów, rzekł gdyśmy stanęli przed drzwiami jego mieszkania. Roza moja zajmie się wieczerzą, a potem zagra wam co i zaśpiewa, jeźli lubicie muzykę. Wejdź, proszę, kochany Gordonie, i witaj mi, w ubogiem mieszkaniu starego kolegi.“ I pozostawiwszy za sobą chmurną i zimową noc kanadyjską, znalazłem się w ciepłem i oświetlonem mieszkaniu, i przypatrywałem się z zachwyceniem twarzy najpiękniejszéj, jak mi się zdawało pod słońcem. Zadrżała zobaczywszy nas wchodzących. Siedziała przed kominkiem, skurczona jak kotka, i wlepiła we mnie dwoje prześlicznych oczu, czarnych jak węgiel. Zobaczywszy ją, przypomniała mi się „Dziewczyna ze złotemi oczami“ Balzac'a, bo w jéj oczach mieniły się cienie ze złota i pomarańczowe, odnośnie do podnoszącego lub opuszczającego się odblasku płomienia, padającego na nie. Gdy tak wpatrywałem się w nią z podziwieniem graniczącym z zachwytem, szorstki, gruby głos majora zadzwonił mi w uszach: „Rozamundo, kochane dziecię, przedstawiam ci młodego mego przyjaciela pana Caryll z Caryllyne, w hrabstwie Dewon, w Anglii, oficera 29-go pułku karabinierów Jéj Królewskiéj Mości, konsystującego w Kanadzie, w Toronto. Gordonie, drogi przyjacielu, córka moja, mała Rozamunda.“ Wyciągnęła ku mnie maleńką rączkę, jéj czarne palące oczy wzięły udział w uśmiechu jéj wymownych ust. „Bardzo się cieszę z poznania pana Caryll z., papo, zkąd? bo nie pamiętam... Cieszę się zresztą z poznania kogobądź w téj zimnéj, smutnéj, brzydkiéj Kanadzie.“ „Więc nie podoba się pani Kanada? bardzo mi to przykro. Musimy się postarać zmienić to nieprzychylne usposobienie miss Lowell. Może szlichtady i ślizganie na łyżwach potrafią panią rozerwać.“ Skrzywiła się trochę i zaśmiała jak dziecko. Już to w całéj jéj postaci i obejściu było coś niemal dziecięcego; zdawało się że nie ma lat szesnastu. „Brzydki to kraj ta Kanada, dodała, przez trzy miesiące letnie można się upiec a przez dziewięć zimowych zmarznąć. Jakże mi żal moich ukochanych wysp Bermudzkich! tam serca są tak gorące jak klimat, twarze tak pogodne i promienne jak niebo. Tam nie potrzeba się obawiać samotności, smutku ani opuszczenia w nieszczęściu, gdyby tylko ojczulek pozwolił, wróciłabym tam natychmiast.“ Ale ojczulek nie pozwoli, odrzekł major grubo się śmiejąc, bo ojczulek już teraz nie mógłby żyć bez swojéj koteczki. Jestem pewny, pieszczotko moja, że pan Caryll użyje wszelkich możliwych środków aby cię rozerwać i zabawić... Ale słyszę pukanie do drzwi, to przyjaciele moi dotrzymują słowa i przychodzą do starego.“ W tejże chwili, śmiejąc się głośno i hałasując, weszło trzech czy czterech oficerów, i major przedstawił ich z kolei córce. Nie umiem powiedzieć jakie wrażenie zrobiła na nich, wiem tylko że ja od pierwszego na nią spojrzenia zupełnie straciłem głowę. Znasz mnie, Łucyo, i wiesz że w takich razach nie umiem być umiarkowanym, ale silnego wrażenia jak w owéj chwili nigdy w życiu nie doznałem przedtem. Od pierwszego spojrzenia w jéj cudowne, śmiałe i naiwne zarazem oczy, powiedziałem sobie: „Jeźli to tylko jest w mocy jakiego bądź śmiertelnika, ja ożenię się z Rozamundą Lowell,“ I nie namyślałem się długo z urzeczywistnieniem mego postanowienia, nic też dziwnego że koledzy śmieli się ze mnie. I oni także podziwiali i zachwycali się córką majora Lowell, ale uwielbienie ich miało swoje granice, nie dochodziło do szaleństwa, mnie je zostawili w udziale. Odmówiłem partyi w écarté, nie jadłem cynader, nie chciałem pić podejrzanego sherry, i tak już dostatecznie byłem upojony. Nieporównanie piękna Rozamunda uśmiechała się do mnie nieśmiało, taki anioł niewinności, nie spotkała się jeszcze z tak piorunującą namiętnością; jednak ośmieliła się o tyle iż przeszła ze mną w oddalony róg pokoju gdzie stał fortepian, podczas gdy inni oficerowie grali w karty w przeciwnym, a major ogrywał wszystkich bez różnicy z wzorową bezstronnością. Dla mnie grała, dla mnie śpiewała, pięknym głosem kontraltowym. Widzę ją jeszcze jak mi się ukazała w ów fatalny wieczór; miała na sobie suknię blado-różową, białe róże na głowie i przy staniku; światło lampy padało na jéj twarz prześliczną, łamało się w kruczych warkoczach. Brum! sam widok róż białych i ich zapach, do końca życia sprawiać mi będzie nudności! Późno już było gdyśmy się rozchodzili. Panna Lowell kwaśno kiwnęła głową innym, mnie zaś podała rękę z uroczym uśmiechem. Wyszedłem z ciepłego, dobrze oświeconego pokoju na ciemną ponurą ulicę o saméj północy, paliło mi się w sercu i w głowie. Z początku, zapominając o przegranéj, towarzysze moi porządnie żartowali sobie ze mnie, ale że major obdarł ich grubo, w końcu odechciało im się żartów, szli posępni i milczący. Mieli przyjść nazajutrz aby się odegrać, major i mnie także zaprosił. „Choć opuściłeś nas, kochany Gordonie, rzekł niby prostodusznie, ale starałeś się rozerwać moją małą Rozę; przyjdź proszę i jutro, przynieś jéj jaki nowy romans do śpiewu. Moja pieszczotka namiętnie lubi muzykę. a ma głos któregoby jéj Nilsson mogła pozazdrościć, gdyby tylko jéj stary ojciec miał o czem go kształcić.“ Aż do rana byłem nadzwyczaj rozgorączkowany: „Rozamunda!... Rozamunda! powtarzałem nieustannie. Samo to imię dźwięczy tak harmonijnie, a jéj głos, jéj śpiew, to jak niebiańska muzyka... I oto tak zachwycająca, anielska istota, jest córką tego hultaja majora... Ale ożenię się z nią, i zabiorę do Caryline'a, do matki mojéj, myślałem sobie... i zdawało mi się że matka moja powita z radością i przyjmie z otwartem sercem, młodziutką i tak prześliczną żonę ukochanego syna... Nie obawiałem się odmowy, tak z powodu że okazywała się bardzo dla mnie łaskawą, a powtóre jestem trochę zarozumiały. A jeźli też, przyszło mi nagle na myśl... jeźli już kocha kogoś na wyspach Bermudzkich?..... i dreszcz przerażenia mnie przebiegł. Nazajutrz, ubrałem się starannie, i jak można było najraniéj wyszedłem rozpocząć konkury. Zakupiwszy pakiet nót, udałem się do domku majora. Lowell był nieobecny, ale zastałem miss Rozamundę. Tak powiedziała mi obrudzona służąca. Wszedłem do saloniku, Rozamunda świetniejsza, więcéj jeszcze porywająca niż wczoraj, przyjęła mnie jak najuprzejmiéj. „Ach! tyle nót!... jakże pan jesteś dobry!... jest właśnie co najwięcéj lubię. Doprawdy, nie wiem jak panu dziękować!... „Pozwalając mi przychodzić, patrzéć na ciebie, miss Rozamundo... i pomyśléć czasem o mnie... i pozwolić mi wypowiedziéć jak gorąco pragnę pozyskać twoje względy.“ Zaledwie zdołałem wyszeptać te słowa, tak byłem pomieszany i wzruszony; pochwyciłem jéj rękę i poniosłem ją do ust. Dziś pojmuję jak musiała w duchu śmiać się z młodego szaleńca, który tak od razu dał złowić się w zastawione sidła. Ale nie darmo była aktorką, odegrała wybornie dziewicze pomieszanie i zakłopotanie. Słuchałem całe godziny jak probowała przyniesionych nut i mogłem zauważyć że bardzo słabo grała na fortepianie i nie bardzo miała o czem rozmawiać. Ale spostrzeżenie to przesunęło się jak cień; zanadto byłem zajęty aby widziéć i pojmować jasno cokolwiek innego nad to: że była najcudniejszą, najrozkoszniejszą istotą, jakiéj kiedykolwiek przyświecało kanadyjskie słońce. Powróciłem wieczorem. I znowu zajęliśmy z Rozamundą nasz odosobniony kącik, zajęci muzyką śpiewem, sobą, i znowu, stary oszust Lowell ograł niemiłosiernie swoich kolegów. Tak powtarzało się przez cały tydzień, po upływie którego pewnego dnia, po południu, poszedłem do majora Lowell, prosić aby mi uczynił niezrównany zaszczyt, oddając mi rękę swéj córki. Stary matacz potrafił wybornie udać zadziwienie i pomieszanie. „Co, moja córka... moja Roza... moja dzieweczka... i to zaledwie po tygodniowéj znajomości... taka ogromna różnica stanowiska... Nie to niepodobna... Ale przecież nie żartujesz ze mnie! zawołał zaperzony. Jestem biedny, to prawda, ale jestem także szlachcicem i oficerem.“ Tu zatrzymał się i głośno nos utarł. Przypominam sobie że choć w takiéj chwili, pomyślałem jednak: „No, szlachcicem niekoniecznie.“ A! po cóż dopuściłem cię do mego cichego zakątka, panie Caryll. Jesteś spadkobiercą ogromnego majątku i ogromnych posiadłości... ostatnim potomkiem znakomitéj starożytnéj rodziny, wiem o tem, wiem także iż ubóstwo moje graniczy prawie z nędzą, jednakowoż... Ach Lowell'u, zawołałem zniecierpliwiony przerywając długie tyrady, cóż ci przychodzi do głowy; powiedziałem co chciałem powiedziéć, i mam niezłomne postanowienie uczynić co postanowiłem. Ani powstało mi w myśli żartować z ciebie; kocham twoją córkę i proszę cię o jéj rękę. Cóż ztąd że znamy się dopiero od tygodnia! miłość nie jest jedną z tych roślin które wschodzą i rosną bardzo powoli, może od razu wielkiego dosięgnąć rozwoju. Musiałem pewnie przeczytać to gdzieś kiedyś, i wówczas zaraz przyszło mi na myśl jak to niedorzeczne i spojrzałem na majora czy nie śmieje się ze mnie. I tak być musiało, bo stary lis odwrócił się do okna, udając że ociera oczy. „Ale ona.... moja Roza, rzekł nareszcie głosem ochrypłym od wzruszenia czy raczéj od ponczu na wisky, ona, moja dzieweczka, która rok temu bawiła się lalkami i zabawkami... czyż jest ona już kobietą zdolną ocenić i odwzajemnić twoje tak bardzo... tak nadzwyczaj pochlebne dla niéj uczucie?“

(d. c. n)

Opis do N-ru 20.

N. 1. Ubranie ślubne.

Z pomiędzy wszelkich materyi jedwabnych, obecnie na suknie ślubne najmodniejszy jest atłas, z którego suknie powinny mieć jak najmniej przybrań i garnirunków. Model ryc. 1 miał stanik pod szyję z długą frakową baskiną; bryty tylne spódnicy z długim trenem, zupełnie gładkie, podszyte tylko muślinowem plisowaniem, z dość szeroką koronką. Boczne bryty ozdobione draperyą a panier, (schodzącą się z przodu w sposób na ryc. 2 wskazany) oszytą u dołu koronką marszczoną 12 cent. szeroką; bryt przedni przymarszczony poprzecznie w górze, u dołu może być oszyty koronką lub takiem jak tren plisowaniem. Gładki stanik zapięty z przodu na piękne szmuklerskie guziki, przy wykroju szyi sute ogarnirowanie z crêpe-lisse, z tyłu przy baskinie kokardą z podwójnie złożonego atłasu. Wianek mirtowy welon z illuzyi 3 cent. szerokiej.

N. 2. Ubranie balowe albo weselne, złożone ze strojnie przybranej spódnicy i wyciętego stanika, na modelu odrobione było z jasno niebieskiej faille. Plisy, wypustki i plisownie było z atłasu, na którym także były haftowane srebrem i niebieskim jedwabiem szlaki zdobiące suknię. Boki spódnicy ozdobione upięciem a panier przód w górze marszczony poprzecznie, ozdobiony sutą girlandą z bzu białego i liści, która pod upięciem bocznem zachodzi aż do brytów tylnych. U dołu przodu i bocznych brytów dane pasy haftowane w środku przodu 28 cent. długie z boków przedłużone stopniowo do 39 cent. długości, naszyte w odstępie 12 cent. Pomiędzy pasami haftu spódnica przecięta była w zęby, przedłużone ku tyłowi i zapełnione plisowaniem, mającem u dołu 7—8 cent. szerokości. Tylne bryty z długim trenem, miały garnirunek 30 cent. szeroki, złożony z plisowania, kilku plis i nagłówka, ułożonego wachlarzowo. Stanik wycięty z przodu na guziczki zapinany, zdobiły bretelki atłasowe haftowane.

N. 3 — 4. Fartuszki dwa włoskie.

N. 3. Fartuszek ozdobiony haftem krzyżowym i niciana koronką.

Potrzeba na niego kawałka białego płótna, mającego 75 cent. długości a 72 szerokości, obrąbionego wązko z boków i u dołu, w górze z brzegów 12 cent. obrobionego i luźno puszczonego, dalej do środka okrągławo do 3 cent. podciętego i wszytego w pasek 3 cent. szeroki. Do paska przyszywa się szarfy płócienne albo wstążki 7 cent. szerokie a 100 długie, wiązane z boku. Dół fartuszka zdobią szlaki 9 centym. szerokie, haftowane krzyżykami bawełną dobrą do prania w trzech kolorach. Pod szlakami przyszyta koronka niciana 12 cent. szeroka, powinna być wywiedziona bawełną kolorową.

N. 4. Fartuszek ozdobiony haftem gobelinowym i frendzlą.

Kawałek płótna mający 90 centym. długości a 48 szerokości, wywija się w górze na 22 cent., do wywinięcia 8 cent. od brzegów przyszywa się szarfy lub wstążki do wiązania. Deseń na szlaki robione ściegiem gobelinowym bawełną niebieską lub écru, znajduje się w N. 1 Tygodnika Mód ryc. 28. Kratki ażurowe dane z brzegów haftu, robią się i przy podłużnych stronach fartuszka, do poprzecznych zaobrąbionych brzegów, przyrobiona frędzla 5 cent. szeroka. Prawie każden deseń do haftu krzyżowego można z łatwością zastosować do ściegu gobelinowego.

N. 5. Stanik ze szmizetką kamizelkową.

Szmizetkę zrobić można z kolorowej materyi, albo na sztywnej tiulowej podszewce, naszyć ze wstawek koronkowych i marszczonej koronki, lub z bufek i plisowania z indyjskiego muślinu; sutą fryzkę i mankiety ułożyć z drobno plisowanej koronki. Gładki stanik z długą baskiną ma kołnierz i szerokie ranwersy z materyi jedwabnej, z której dane są także patki na mankietach przy której dane są także patki na mankietach przy rękawach.

N. 6 — 7. Przykrycie na stoliczek do szycia, ozdobione haftem kolorowym.

Rycina 7 przedstawia w naturalnej wielkości trochę więcej jak połowę deseniu do haftu na przykrycie stoliczka albo na lambrekinę, któren haftować trzeba różnokolorową filozelą o dwóch nickach, na tle czarnem sukiennem. Rodzaje ściegów dokładnie wskazane są na deseniu. Na modelu użyte były filozele w czterech cieniach kolorów: niebieskiego, ponsowego, żółtego, różowego, rezedowego, oliwkowego, drzewno-orzechowego i popielatego wpadającego w odcień czerwonawy. Wązki szlaczek z arabeskowych liści znajdujący się u dołu deseniu, dany być powinien i przy podłużnych brzegach przykrycia; listki powinny być naprzemian w 4 cieniach popielatych lub drzewnych, a gałązkę robić cieniem oliwkowym. Układ kolorów w dużym arabeskowym deseniu pozostawić musimy własne:nu gustowi, bo opis byłby zbyt długi.



N. 1. Ubranie ślubne. N. 2. Ubranie balowe.

N. 14 — 18. Kapelusz słomkowy dla małych panienek.

N. 14—15. Kapelusz przewlóczony wstążką. Kapelusz biały słomkowy z wysoką główką i rondem równo w koło na 2 cent. wywiniętem, zeszywany jest z grubszych słomkowych plecionek, przewlóczonych wązką niebieską wstążką; próbkę przewlóczonej plecionki dajemy na ryc. 15. Wstążka niebieska 5 cent. szeroka, opasana gładko koło główki i upięta z boku w sutą kokardę.

N. 16. Kapelusz biały bastowy z dość wysoką główką i rondkiem przewlеczonem aksamitką czarną 2 cent. szeroką, ubrany był kwiatami polnemi i aksamitką 4 cent. szeroką, z boku główki na kokardę związaną.

N. 17. Kapelusz z fantazyjnej słomki, granatowego koloru.

Kapelusz z szeroką okrągłą główką, ma rondko duże w górę podwinięte, objęte pliską z jedwabnego szafirowego repsu, zakończoną w górze białą wypustką z cienkim sznureczkiem. Główka opasana wstążką 3 i pół cent. szeroką także z białą wypustką; z takiejże wstążki bez wypustki dane krótkie końce i przepięcie z tyłu ku bokowi. Dwie rozety z siepanego repsu umieszczone są z boku.

N. 18. Kapelusz z dwukolorowej słomki.

Kapelusz marynarski z cienkiej czarnej i białej fantazyjnej słomki, ma wierzch główki trochę wklęśnięty i przykryty sutą rozetą z czarnego strzępionego repsu, brzegi ronda objęte na 3 cent. szerokości stębnowanym skosem repsowym; główka opasana gładko czarną, 5 centym. szeroką wstążką repsową, z której z tyłu ułożone są w górę 2 zęby i spuszczone dwa końce.

N. 19. Kapotka biała batystowa. Od spodu rondo podszyte gładko czarnem aksamitem, a z wierzchu ozdobione dwoma rzędami w rurki układanej, falbanki z crêpe-lisse 2 $^1/_2$ cent. szerokiej, wpuszczonej pomiędzy bast. Ubranie kapelusza stanowi barbka z crêpe-lisse 30 cent. szeroka a 125 długa, oszyta koronką bretońską 5 cent. szeroką, przepięta na główce i przy brzegach ronda klamrami metalowemi i spięta u dołu gałązką róż ciemno karmazynowych. Bukiet z róż karmazynowych, liści i bzu białego włoskiego, przypięty w sposób na ryc. 19 wskazany.

N. 20. Kapotka z bronzowej fantazyjnej słomki. Ma główkę równą, 10 cent. wysoką, rondko z przodów 3, z boków 2, z tyłu 1 centym. szerokie, objęte bufką z marszczonego ciemno orzechowego aksamitu. Także skos aksamitny otacza główkę i jest z boku ułożony w podłużne fałdy, z tyłu przejęte wstążką atłasową 3 cent. szeroką, z jednej strony bronzową z drugiej orzechową, z której długo spuszczone końce, przewiązane są w kokardę. Duże pióro bronzowe z orzechowem do cieniu, przypięte z przodu i bukiet róż z orzechowemi liśćmi przypięty z boku do główki, stanowią przybranie.

N. 21. Kołderka do kolebki, wyszyta ściegiem krzyżykowym.

Jasno popielata flanelkowa kołderka, mająca 74 cent. szerokości a 105 długości, ozdobiona haftem krzyżykowym robionym niebieską filozelą. Szlak dany w koło 4 $^1/_2$ centym. od brzegu, miał 38 krzyżyków szerokości, tło zapełniał rzadki niezbyt gęsty. Cała kołderka podszyta była kaszmirem niebieskim, a brzegi ostębnowane listewką repsową 3 cent. szeroką. Na rogach kokardy ze wstążki 6 cent. szerokiej.

N. 22. Deseń do wyszycia ściegiem na dwie strony, jedwabiem lub bawełną kolorową do prania, na serwetach

ręcznikach lub bieliźnie. Robiony stosownie do obranego materyału, z podłożeniem albo bez podłożenia kanwy.

N. 23—24. Kostjum krótki dla niedorosłych panienek, złożony ze spódnicy, tuniki, stanika z długą baskiną i kamizelki. Krój stanika i kamizelki podług ryciny 43 i 44 w N-rze 11 Tygodnika Mód.



N. 3. Fartuszek z wyszyciem i koronką.

Spódniczka niedochodząca do ziemi, mająca około 240 cent. dolnego obwodu, ogarnirowana plisowaniem 16 cent. szerokiem. Przód i boczne kliny spódniczkowej tuniki mające razem 122 cent. dolnej szerokości, wyciąć w zęby proste 4 cent szerokie a 5 długie i podgarnirować od spodu plisowaniem 7 cent.

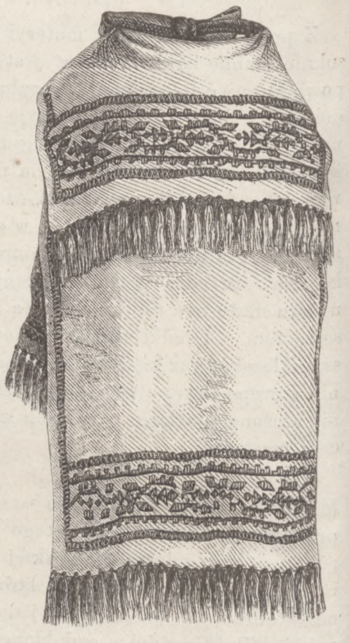


N. 5. Stanik z kamizelkową szmizetką.



N. 7. Deseń szlaku do serwety na stolik do szycia r. 6.

szerokiem; boczne brzegi przyfałdować w sposób na rycinie wskazany. Bryt tylny prosty 122 centymetrów długi z boków ułożyć w fałdy tak ażeby u dołu wysuwał się o 12 cent. za kliny przednie, w górze go sfałdować i trochę podpiąć, a w środku od dołu przeciąć na 42 cent. długości i podszyć ranwersami z aksamitu lub materyi jedwabnej, u dołu 11 cent. szerokiemi, do góry spiczasto ściętemi. Stanik z bardzo długą baskiną, dopełniony z przodu kamizelką, ma także przy plecach ranwersy 28 cent. długie, pod które daje się od spodu aksamit lub materyę fałdowaną; rękawy ozdobione mankietem 9 cent. i plisowaniem 4 cent. szerokiem. Rycina 23 przedstawia suknię z gładkiego i deseniowego wełnianego materyału, a ryc. 24 suknię wełnianą w kratę, przystrojoną aksamitem lub materyą jedwabną.



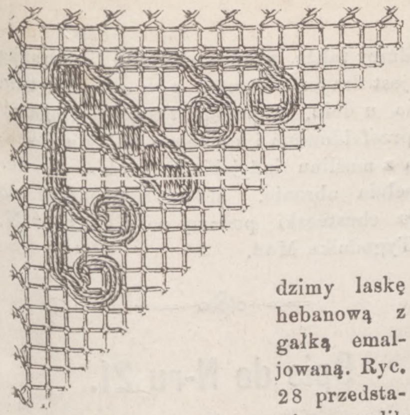
N. 4. Fartuszek z haftem gobelinowym i frendzlą.

N. 25—29. Parasoliki i laski do parasolików.

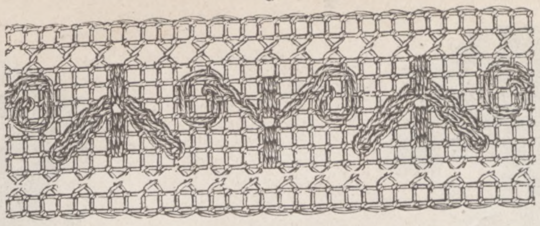
Największą ozdobę lasek do parasolików stanowią gałki lub tafelki z mienionej emalii zdobiące główkę albo sęczki; ryc. 25 i 26 przedstawia



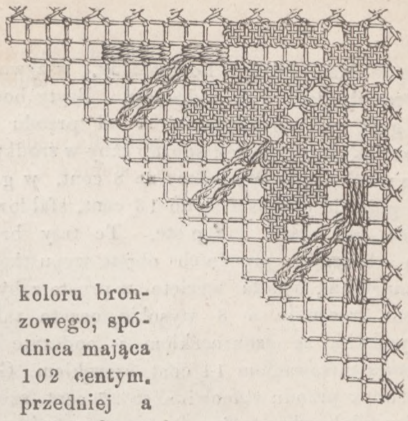
N. 6. Serweta na stolik do szycia. Patrz ryc. 3.



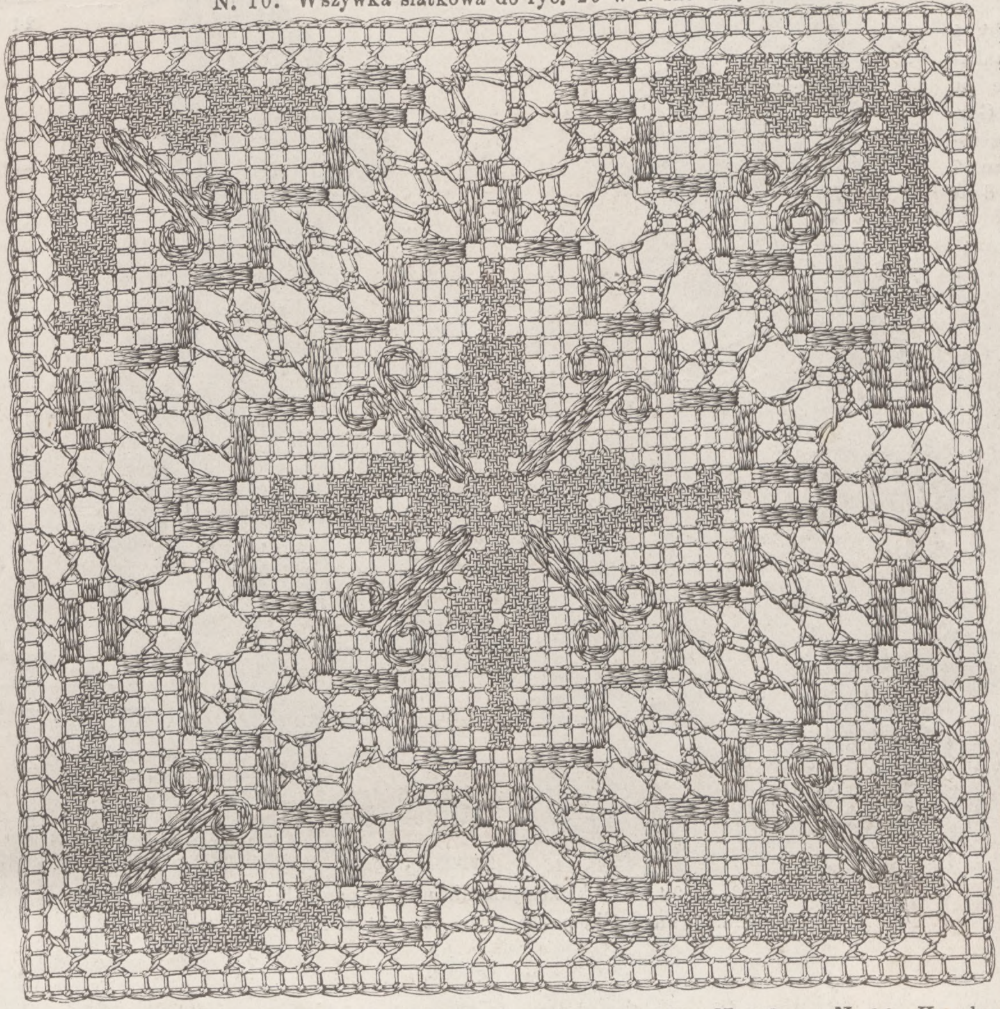
N. 8. Narożnik w kwadracie na serwetę ryc. 29 w N. 21.



N. 10. Wszywka siatkowa do ryc. 29 w N-rze 21.



N. 9. Narożnik do ryc. 29 w N. 21.



N. 11. Kwadrat siatkowy do serwety ryc. 29 w N. 21.

laski oryginalnego kształtu, których sęczki ozdobione są tafelkami emalii, a na ryc. 27 widzimy laskę hebanową z gałką emaljowaną. Ryc. 28 przedstawia parasolik czarny, haftowany jedwabiem kolorowym w rzucik z drobnych kwiatków, (których wzór podamy w N. 21, na ryc. 33 i 34), oszyty sutą kordonkową frendzlą, ozdobioną wązkiemi morowemi wstążeczkami. Na rycinie 29 przedstawiamy także czarny repsowy parasolik z rączką czarną hebanową z gałką emaljowaną, ozdobiony emaljowaną obrączką i oszyty czarną plisowaną bretońską koronką.



N. 14. Kapelusz słomkowy przewłóczony wstążką. Patrz ryc. 15.



N. 16. Kapelusz słomkowy ubrany kwiatami dla małej dziewczynki.



N. 19. Kapotka biała bastowa.



N. 20. Kapelusz z bronzowej słomki.



N. 17. Kapelusik z granatowej fantazyjnej słomki, dla dziewczynki.



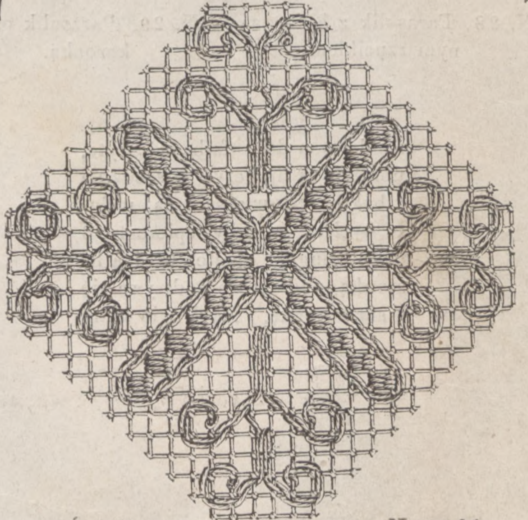
N. 21. Kołderka do kolebki.



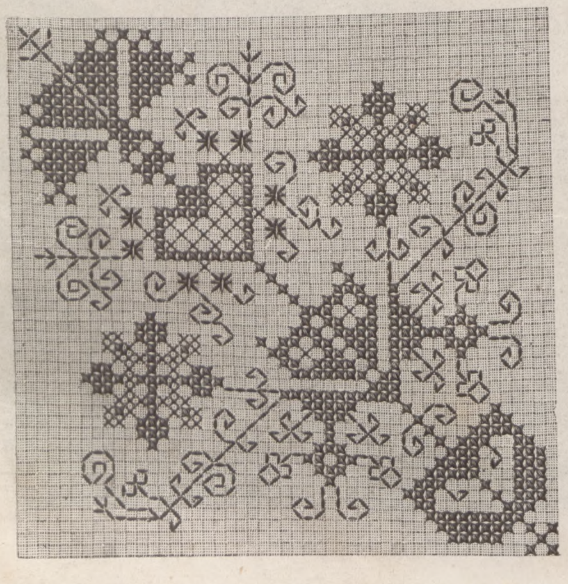
N. 18. Kapelusz z kolorowej słomki dla dziewczynki.

N. 30. Ubranie wieczorowe lub wizytowe.

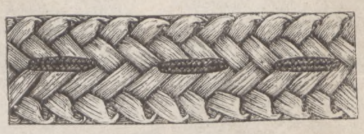
Suknia odrobiona z materyi faille koloru bronzowego; spódnica mająca 102 centym. przedniej a 148 tylnej długości składała się z przodu, bocznych klinów i 3 prostych 58 cent. szerokich brytów tylnych. Bryt przedni miał 26 cent. górnej a 58 dolnej szerokości, kliny 18 górnej a 48 dolnej szerokości. Tak bryt jak i kliny krają się znacznie dłużej i układają w poprzeczne fałdy na gładkiej podszewce; środkowy z brytów tylnych mający 148 cent. długości ścina się z brzegów u dołu do 139 cent., bryty boczna 139 cent. długie ścinają się z brzegów przednich do 128 cent., następnie bryt środkowy układa



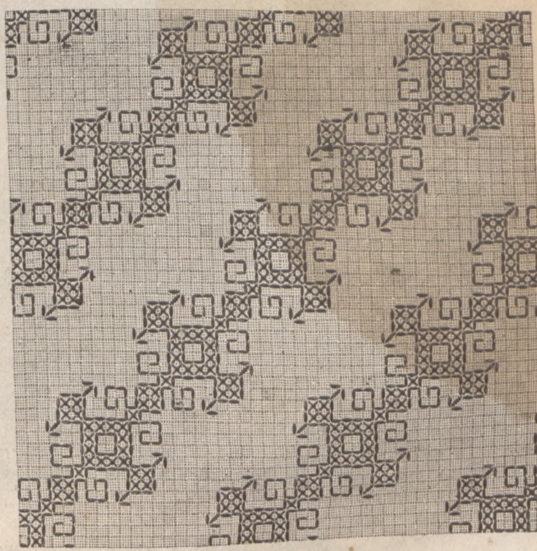
N. 12. Środek do kwadratu ryc. 29 w N-rze 21.



N. 13. Wyszycie krzyżykowe do ryc. 29 w N. 21.



N. 15. Słomka przewleczona wstążką do ryc. 14.



N. 22. Wyszycie ściegiem jednakowym na dwie strony.

się w duże potrójne kontrafałdy, wszywa w pasek i spuszcza do dołu bez podpięcia. Bryty boczne fałdują się u góry od strony tylnej a od przodu wszywają prawie gładko w ten sposób iżby w środku od przodu rozchodziły się tylko na 8 cent. w górze, zaś w połowie długości są do 13 cent. sfałdowane i węzłem do sukni przypięte. Te trzy bryty są z brzegów przednich objęte wypustką ze sznurkiem, u dołu wycięte w proste zęby 5 cent. szerokie a 8 wysokie, oszyte także wypustką ze sznureczkiem i podszyte od spodu plisowaniem 11 cent. szerokiem. Garnirunek przodu stanowi skos 27 cent. szeroki u dołu plisowaniem oszyty, w górze 7 cent. od spodu podwinięty, w środku w dwie fałdki założony i tym sposobem do 13 cent. zwężony; w odstępie 14 cent. skos przemarszcza się przy środkowych fałdach w ten sposób iżby tworzył rodzaj fałd na ryc. 30 wskazanych, na któr: 13 cent. ściąga się przy przemarszczeniu środkowem do 3 centym. objętości. Stanik z przodu bawetowo ścięty jak na ryc. 31 i dwoma wypustkami ze sznureczkiem oszyty; z tyłu baskinę przedłużyć podług ryciny przy środkowych częściach pleców dodać materyału na fałdy, przy bocznych zostawić rozporki złączone kokardami 4 cent. szerokiemi ze skośnej materyi podszytej atłasem. Wypustki i plisowania także z atłasu tego co suknia koloru.

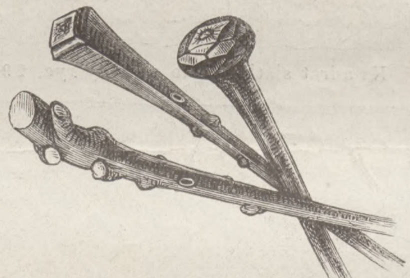
N. 31. Ubranie wieczorowe ze stanikiem wyciętym.

Model tej strojnej sukni odrobiony był z wiśniowego jedwabnego repsu; stanik do gorsu z przodu był w okrągły bawet ścięty, z tyłu zaokrąglony baskiną w środku wiązaną na kokardy, od dołu równo ściętą. Przód i pierwsze kliny spódnicy u dołu falbaną oszyte, ubrane są draperyą w środku i z boków przemarszczoną, u dołu wyciętą w zęby śpiczaste 8 cent. długie, objęte skośną listewką, pod które podszywa się białą koronkę. Na drugie kliny i tylny bryt spódnicy także w zęby wycięty i koronką oszyty, dodana jest draperya zeszyta z prostych brytów, zaokrąglona u dołu, z przodu tworząca „panier“ z boków przefałdowana i kwiatami do tyłu spięta. Chusteczka z muślinu indyjskiego garnirowana koronką, dopełnia ubranie. Model zmniejszony do kroju chusteczki podamy na ryc. 36 w N. 21 Tygodnika Mód.

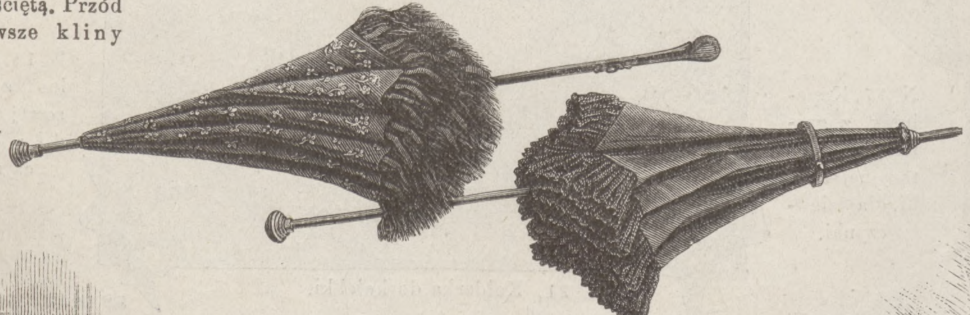




N. 23 — 24. Krótki kostjum dla młodej panienki. Krój stanika i kamizelki podług ryc. 43—44 w N-rze 11.



N. 25—27. Modne laski do parasolików.



N. 28. Parasolik z haftowanym rzucikiem.

N. 29. Parasolik oszyty koronką.



N. 30. Ubranie strojne wizytowe.



N. 31. Ubranie wieczorowe.

Opis do N-ru 21.

N. 1—7. Szpilki modne do głowy, grzebień i bransolety.

Naśladowanie prawdziwych różowych korali tak zwane amerykańskie korale, obecnie bardzo jest modne. Massa ta z powodu swej elastyczności daje się naginać w różne formy jako to: na bransolety, opaski na głowę, szpilki i t. p., których modele załączamy na ryc. 1—5.

Gładka opaska i bransoleta w kształcie węża wsuwająca się przez rękę jest z metalu podobnego do srebra. Strzała do przepięcia włosów jest srebrna z obsadą górnąrobotą filigranową; druga szpilka zakończona jest filigranowemi gałkami.

d. c. n.



Pl. 392.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.